

Waldemar Okoń

Granice pytań

*Uzyskać ostatecznie jakiś rodzaj pełni,
złożonej z wibrujących fragmentów*

Virginia Woolf

Wrocław, 4 czerwca 2016

To zaczyna być denerwujące. Widzę moje teksty, jak osuwają się po zniszczonych roletach, po dachach powietrznego miasta. Muszę z tym walczyć, zdobyć się na ironię albo na ukłon w stronę historii. Jestem naznaczony bladym i wyblakłym pięknem, piętnem na twarzy i na rękach. Nie znam ostatecznych kształtów opisywanych przedmiotów, wyobrażam jedynie ich stygmaty, ślady na wietrze. Jak zawsze palimpsesty, powtórzenia, znaki wydobyte z pamięci. Muszę zacząć spokojnie i niewinnie, opisać różę, twoje ciało, muszę zacząć spokojnie. Zauważyłem, że powtarzając zdania, uzyskuję łagodną inkantację, melodię fletów pasterskich, której nigdy nie słyszałem. Słowa piszą się same, ale nie podlegają bynajmniej psychopatycznemu automatyzmowi, są moje i nie moje, tak naprawdę nie wiem, do kogo należą. Patrę na słowniki stojące na półce, tam ich nie ma, w takim razie gdzie są, dokąd zmierzają? Uciekam ze spłoszonego stada we wszystkie strony jednocześnie. Jestem skrajnie rozproszony, dotykam kolanami ziemi, niczego nie potrafię zrozumieć. Ślady wypalone na skórze będą moim drogowskazem, dobra jaskinia jest coraz bliżej. Jest w niej studnia wiadomości dobrego i złego, tamto drzewo dawno uschło, muszę tam pójść i zaczerpnąć słodkiej wody. Codzienny nawyk, którego nie mogę się ustrzec, materia, która skalała moje myśli, horyzont rozwiązanych niespodziewanie rzeczy. Proszę mnie o zwyczajność, o rzeczowniki pospolite i bierne, o dłonie na twoich piersiach. Spowiadam się Panu i Bogu i Daremnemu, jest ich kilku, wiedzą, co to śmierć, ale nie znają naszego życia. Jestem czysty, poczęty, niepokalany, nie można mnie poznać ani zatrzymać, męczę się patrząc na żelazne drzwi do raju, piękno nie powinno wymagać ode mnie aż takiej ofiary. Kochamy się kochać, przeżywamy nasze przeżycia, widzimy widzenia, patrzymy nie patrząc. Paradoksy wyznawców nieznannej religii. Stawiamy pytania, nie znamy granic odpowiedzi. Jesteśmy tak naprawdę sami, to nie jest obce bogom.

Śniły mi się dzisiaj kobiety, które kiedyś kochałem i te, które mimowolnie skrzywdziłem. Patrzyły na mnie z wyrzutem, chciały jeszcze raz się ze mną kochać, ale ja wiedziałem, że dzisiejszej nocy nie będzie to możliwe, że ktoś mnie obudzi, że wszystko zniknie niepostrzeżenie i że będzie mi później trudno cokolwiek sobie przypomnieć, podobnie jak zapominamy inne głupie sny powstałe w malignie porannego wzwodu i białych prześcieradeł. Rzecz działa się w opuszczonym domu, przypominającym labirynt wypełniony kolejnymi pokojami, sofami z wysokim oparciem, poduszkami zrobionymi z końskiego włosia. Wiedziałem, że jest to końskie włosie, ale nie wiem, jakie to miało znaczenie, podobnie jak nie wiem, kto stał za zamkniętymi drzwiami i patrzył uważnie na twoje rozchylone nogi. Nie wiem, jak mógł poprzez te drzwi cokolwiek zobaczyć, jednak we śnie nie miało to znaczenia, we śnie nic nie ma znaczenia, ważne były jedynie smutne oczy nagich kobiet i niema prośba, której nie mogłem spełnić. Powiedziałaś: ile ty masz lat, dlaczego wciąż tak na nie patrzysz, ich ciepłe wnętrza, różowa miazga, ile ty masz lat. Rozmawialiśmy o dawnych sprawach, o tym jak siedzieliśmy na ławce w parku albo pili wieczorami herbatę w ciemnym, poniemieckim salonie. Co do tego mają Niemcy, oni są niemi i tak śmiesznie kaleczą nasz język. Nasz pokaleczony język, nasza proza, która nie chce się przemienić w poezję. Pożegnania we śnie trwały długo, jeszcze zarys piersi, przeźroczysta skóra, dotknięcie jak w scenie stworzenia Adama. Stwarzasz go, kobiety go stwarzają, leży teraz jak rekin ludojad i zjada własne dzieci. Kochasz rekiny i morską sól, nasza gwiazda gaśnie i właśnie ulega ostatecznemu rozpadowi. Chciałem napisać „zaranna”, piękne słowo, idealne na tę porę dnia i nocy, może „wydarta ze snu” albo „zaorana” przez nieśmiertelne męskie pługi. Coś o roli, o orce na ugorze i pytasz, gdzie zniknęły te wszystkie smutne kurwy, przeklinasz nasz wspólny sen, jesteś zazdrosna i nie patrzysz mi w oczy leżąc na błękitnej poduszce z błękitno-żółtej Ikei. Lokujemy produkty, lokujemy uczucia, robimy wszystko, co jest w naszej mocy, żeby się jeszcze dzisiaj nie obudzić.

Rzucam do góry monetę, ślepy los, te sprawy. Nie wiem, jak bardzo jest ślepy i dlaczego wybiera właśnie mnie do swoich eksperymentów. Nie wiem też, jak długo jeszcze będę czekał na kogoś, kto we mnie wejdzie i przetrawi moje wnętrza. Godzę się na wydalenie pod warunkiem, że będzie obfite i podchwycone przez współczesne media. Jestem już daleko, coraz dalej, a po wcześniejszych moich ścieżkach nikt jeszcze nie przeszedł. Dokąd w takim razie doszedłem i dlaczego nie ma tu nikogo oprócz mnie. Pamiętam mgłę, białe przestrzenie pustej kartki, bezdroża, brak kierunkowskazów. Idę po omacku. Idziemy po omacku. Zawsze jesteśmy we dwoje, jest nas dwóch, nasza płeć przestała mieć znaczenie. Istnieje za to potrzeba rozmowy, raczej nie dialogu, rozmowy z tobą o podwójnym obliczu. Pytania stają się wilgotne, odpowiedzi wysuszone i szorstkie jak pustynne kamienie. Mają materialny kształt, obracają się wolno w mojej głowie, czuję ich ciężar i brak wyraźnych konturów. Rzeka płynie, jak zawsze u mnie i u ciebie, nie wiem czy podążamy razem z nią pod prąd czy z prądem. Idziemy kolejny już rok bez odpoczynku i nadziei, spragnieni świeżej krwi jak ludożercy. Być może, kiedyś już tu byliśmy, drzewa wydają się być znajome, skały przypominają czyjeś twarze. Pamięć jednak potrafi zawodzić, metafizyka przybiera formę dwugłowego cielęcia. Kocham cytaty, kochasz cytaty. Przymus pisania kocha cytaty, ułatwiam, ułatwiamy w ten sposób sobie przetrwanie kolejnych dni, wschody i zachody słońca i to, że wschodzi raz na dzień. Pamięć eksploduje, kaprysy pogody, zaszliśmy już tak daleko, kaprysy Łazarza są nam coraz bardziej bliskie. Powiniennem powiedzieć coś o miłości, o trudach podróży, nic się nie liczy oprócz tego, nasze rozdzielanie jest chwilowe, połączymy się znowu i będziemy trwać jak piękna pogoda, zapowiadają piękną pogodę, zima w tym roku jest dla nas bardzo łaskawa.

Politycy, mocne trwanie na posterunku, biało-czerwona, bagnety wciśnięte w ramiona, rymy częstochowskie i zapach kadzidła. Moja sztuka tego nie lubi, węższy, prosi o pozwolenie wyjścia na świeże powietrze, skomli, czyta gazety, powtarza hasła i robi się jej niedobrze. Siedem krów chudych, siedem krów tłustych albo odwrotnie. Przeżywamy czas nowego potopu, musimy uciec do arki, zabrać ze sobą zwierzęta, pozostawić ludzi na brzegu. Najpierw wypuścimy gołębia, później dym z komina, nie będzie tak całkiem źle. Trzeba tylko mieć słoninę, cebulę i gorzałkę, trochę przesyconego tłuszczem wojłoku, jeden zachód słońca, jeden wschód księżyca. Opale i szafiry nad zatopionym morzem układają się razem z nami do snu. Czekamy na lepsze czasy, palimy tytoń i siedzimy na piecu, z którego ciepło tak przyjemnie rozchodzi się po członkach. Lubisz moje członki, lukrowną skórkę, boski napletek niesłusznie odrzucany przez niektóre plemiona pustyni. Mamy coraz lepsze widoki, wystarczy tylko przeczekać złe obrazy nieba, złą aurę najbliższych wybrzeży. Łowimy ryby, one uwielbiają potopy, smażymy je na maśle jak to w Wielkim Poście. Masełko spływa po brodzie, słyszymy coraz cichsze kroki tych, którzy pozostali.

Pająk zamieszkał w mojej lampie nocnej. W mojej lampie dziennej nie ma nikogo. Najwyraźniej zrobiło mu się gorąco i musiał się ochłodzić. Lubię pająki, nawet te, które nie przynoszą mi szczęścia. Dziennik dzieje się sam, jestem z nim, ponieważ muszę odpokutować grzechy, których nie popełniłem. Są to grzechy pierworodne, grzechy pierworodnego. Musiałem kiedyś popełnić jakaś zbrodnię, moją zbrodnią było to, że się urodziłem. Inaczej byłbym bezgrzeszny. Pełno absurdów, wymiana złota na srebro, drzewa na liście. Czas cofa się coraz bardziej, z każdym dniem tracimy część naszej wartości. Ostatnio zmechanizowano produkcję trumien, nie opłaca się ich robić zbyt porządnie, bo i tak ulegają spaleni w krematorium. Trumny są składane, w paczkach, z dołączoną instrukcją montażu. Praktyczny prezent na urodziny albo rocznicę ślubu. Widzę transporty składanych trumien, pewnie będzie wojna albo jakiś inny kataklizm. Kto wtedy z nas zostanie, kto ubierze ślubne pierścienie i nakarmi świętego węża. Nadal najważniejsza jest wartość wymienna, za rzekę dajemy strumień, za góry kilka kamieni, za morze parę bursztynów. Pod powiekami jawi się ogrom świata, którego nie znamy, targowisko próżności zaczynające się na moim stole, na którym śpi pająk znużony wspinaniem się do góry i opuszczaniem po pajęczynie prosto na klawiaturę komputera. Jest bezgrzeszny i głodny, potrafi tak trwać miesiącami. Opowiadał o nim w sposób zawoalowany i okrężny, ponieważ nie wiem, kim jest i czyja dusza się w nim ukrywa. Muszę mu pomóc uwolnić się z okowów, które sam sobie stworzył. Muszę ustalić wszystkie przyczyny i skutki, dowiedzieć się, dlaczego leży na białym tle, zapominając o świętych prawach mimikry.

Dzisiaj padał deszcz, delikatnie, ale padał. Kropki na chodniku i mokre plamy na oknach powiększały się z każdą chwilą. Malarzy nie było, nikt nie malował deszczu ani strumieni podświadomości. Malarzy jest coraz mniej, giną jak muchy, umierają stojąc, nic już potem nie widzą, ślepną i nie lubią nadmiernie ekspresywnych kolorów. Robią instalacje z drutu i z mgły, niekiedy wykorzystują ulewę albo opowieści o najnowszej utopii i o ostatnich państwach słońca. Z tego drutu rdzewieją im ręce, które zaczynają przypominać rude gałęzie trzęsące się na wietrze. Sytuacja wydaje się być bez wyjścia, obowiązkiem artysty jest przestrzegać profanów przed niebezpieczeństwem, a nie drżeć z niemocy i zimna. Zaczynam im współczuć, na szczęście nie jestem malarzem, używam słów jak wycieraczki i jak chusteczki do nosa, mogę sobie pozwolić na nieistnienie, z tarczą albo na tarczy, sekcja włók niczego nie wykazała. Po wielu próbach znalazłem się w przedsiönku sztuki, później ulica, przedmieścia, nigdy centrum pełne światła i rozneglizowanych kobiet. Opłata mnie winorośl, żyję w tłoczni mistycznej, wino spływa mi po ustach, nigdy nie dotykając języka. Mój język jest suchy i wytrwały, potrafi prawie wszystko, doprowadza cię do szału, mówi: doprowadzasz mnie do szału, język polski doprowadza cię do szału, bywa trudny i niezrozumiały dla cudzoziemców. Kochając się, musimy uważać na ciasnotę wnętrza, na ciemne kuchnie i inne wynalazki Wielkich Budowniczych. Zdejmujemy koszulę przez głowę, tak jest szybciej, naręcza kwiatów sypią się z sufitu pokrytego starą farbą. Jesteśmy już starzy, nikt nie napisał starości, ciała przedmiotów osuwają się wzdłuż ściany, odbijając w kolejnych lustrach. To jest nasz punkt wyjścia, później linia bez końca i bez początku. Opadają ostatnie zasłony. Nasz raj po latach jest znowu otwarty, jak tani bar lub knajpa na dworcu. Ten, co nas wypędzał, najwidoczniej zasnął albo sobie gdzieś poszedł. Ponownie usiadziemy pod drzewem, zjemy brzoskwinie lub banana, jak wtedy. Zawołamy jakiegoś malarza, aby nas sportretował w pełnym świetle, które oślepią oczy i wargi i doprowadza nas do ekstazy w czasie burzy niespodziewanej o tej porze roku. Tutaj nie ma pór roku, nie ma malarzy, jesteśmy my, nieskończeni i bezbronni jak pismo Boga ze starego opowiadania.

Myślałem dzisiaj o tunelach w przestrzeni, która mnie otacza. Najpierw miało być: o tunelach w przestrzeni, ale zacząłem się obawiać, że nie zostanę dobrze zrozumiany, że nie zostanę zrozumiany, ale przez kogo? Być może przez przestrzeń i jej wymiary lub budowniczych tuneli. Wikłam się w języku, wszystko, co nie jest językiem, jest rzeczywiste, gdzieś to przeczytałem, lecz sentencja ta wydaje się być zbyt prosta i nie do końca prawdziwa. Smakuję ją jednak jak świeże daktyle, silę się na obojętność wobec cudzego geniuszu. Jestem tożsamy z moim tekstem, tłumaczę go i wyjaśniam sam sobie. Koło wiecznego powrotu zaczyna mnie ostatecznie pochłaniać. Nie wiem, kim jestem poza słowami, gdzie się ukrywam i dlaczego śnię coraz dłużej o śnieniu. Taka poza, groteska bez wyraźnego tła i ostatecznego znaczenia, pejzaż złożony z samych przelatujących nad naszymi głowami jaskółek. Widziałem złożoną z nich partyturę: jakiś zakręt, orkiestrę grającą obok drogi. Nadchodziła burza, była rzeczywista pomimo snu. Chciałaś mnie obudzić, musiało ci się śnić coś złego, powiedziałaś, śniła mi się orkiestra i jaskółki, to nic złego, przecież jestem bezgrzeszny, to nic złego. Już nie muszę niczego udowadniać, tunele są naprawdę, ja jestem naprawdę, prawda uszlachetnia i nie może nas zawieść na pobliskie manowce.

Zabiegam o przyjaciół, o mnie nikt, to smutne. Biegniemy tak obok siebie, oni zabiegają mi mimowolnie drogę. Działanie zamienia się w obraz, obraz jest wieczny i nie muszę już go opisywać, wyzwoliłem się spod jego dyktatu, cel szczęśliwie nie uświęca środków. Ogarnia nas zwątpienie, zaczynamy rozumieć samotność, operacja na żywym organizmie tym razem się nie udała. Kupuję lus-terka, patrzę jak odbijają światło, współczesny Narcyz wpatruje się w tablety nowej generacji. Tam jest wszystko, pojęcia, rzeczy, sytuacje, nazwiska, projekcja „Pogardy” i „Stu dni Sodomy”, nie wiadomo, kto jest w nich ofiarą, a kto katem, kto panem, a kto sługą. Coraz więcej tragicznych wiadomości i nawet ty nie jesteś już moim doczesnym pocieszeniem. Bohaterowie są zmęczeni, mówisz mi to raz jeszcze. Kto jest zmęczony, bohaterowie. Nie ma żadnych bohaterów, musimy jedynie zapamiętać nasze twarze, gest odsuwanych z czoła włosów, kulminację cierpienia, urojone skargi, które uderzają o niebo dzisiaj umieszczone przez aniołów szczególnie wysoko.

Dzień ogromnie, piękne słowo z tych, których nikt już nie używa. Jeszcze kontrasty godzin, które mnie prześladowają. Dostrzegam ich powolne staczenie się w nieistniejącą próżnię, bezwład i oczekiwanie na kolejne przepływy czasu. Podajesz mi szklanę wody, na starość ktoś powinien nam podać szklanę wody. Tak mówiła zawsze moja matka, pamiętaj o tym, kiedy będę stara. Pamiętałem, ale i tak zostałem przez nią porzucony. Może to i lepiej, nie mam dzięki temu wobec niej żadnych zobowiązań, mogę spokojnie kłaść na jej wezłowskiu garść ziemi, grudki szarego pyłu. Wezłowie uruchamia wyobraźnię. Widzę łożo z krwawym baldachimem, białe prześcieradła, niewolnice oplecione sznurami, wezyra, który wzywa kolejne ofiary. Wyobraźnia prowadzi mnie w stronę orientalnego kiczu, jest jak zwykle krnąbrna i nieprzewidywalna. Kim jest i dlaczego mnie prześladowuje. Przypomina nieskończoną kolumnadę biegnącą jednocześnie w stronę północy i południa, inne kierunki świata się nie liczą. Przełamujemy lody, układamy się do snu. Na szczęście niewolnice utopiono już w Bosforze, a nasze płynne zegary stanęły na godzinie dwunastej. Słyszymy wystrzały z moździerzy na cześć nowego haremu. Orient nie chce mnie opuścić, topnieje w oczach jak garść śniegu, pragnie, abyśmy się z nim położyli na białym prześcieradle. Zdejmujemy z siebie kolejne warstwy powietrza i myślimy o delikatnej miłości o świcie, już po północy, po upływie naszego czasu. Błękitna skóra pięknieje, wygładza się, liczy godziny występku, przestępne, bez końca.

Budzimy się w środku puszczy, puszczamy się intensywnie. Puszcza unosi się ponad koronami drzew. Tyle rzeczy jest u mnie „ponad” i „obok”, nie rozumiem tego, dlaczego nie „poniżej” albo „w środku”. Muszę to zmienić, chociaż „w środku” też lubię, małe penetracje, dlaczego małe, w porządku, duże, to niewiele zmienia, ona podobno dostosowuje się do rozmiaru, ulega, walczy, na naszej lotni zatrzymują się posłuszne nasiona, chwila ulega rozpadowi na słowa i akt schodzący po schodach, na otoczkę i kolejne fazy ruchu. Choroba uścisku, jak psy spętane obrożą, jak góra i dół i te rzeczy poruszane w głębi mokrej sierści. Nie mogę się powtarzać, ale ciągle te same obrazy, jest nam błotnie i tłoczno, musimy uwolnić się od tego, odpocząć jak dziecinne latawce puszczane na wzgórzu lub tylko ja odpoczną, jak chart spuszczone ze smyczy, jak knieja, jak wnętrze lasu wypełnione trupami bestii. Ty jesteś łąką, prześwitem pomiędzy drzewami, samorodną trawą, która zasiała się nad ranem i przypomina szkarłatną tarczę. Nic nie jest realne, deszczu nie wolno zatrzymywać, piaski powinny pochłoniąć całą ludzkość, węże zasnąć na resztkach papieru, na którym opis dziczy i pamięć o wypędzonych tytanach. Przemienimy się w przezroczystą bibułę, w pomarszczone nasze ciała, w migotliwe, niegroźne dla nikogo dotarcie do zwątpienia.

Ludzie czytają uważnie, starają się zrozumieć, kilka pytań o czym to jest, o kim to jest, dlaczego tak wiele niepewności i jeden zgubiony talizman, który miał wytłumaczyć znaczenia z odległej przyszłości. Porównuję wszystko do wszystkiego, nic do niczego, licytuję najnowsze dzieła sztuki i sam tworzę sztukę złożoną z niematerialnych rzeczy. Chłodne noce przychodzą same, musimy się ogrzać. Nasze ręce, płaszcz zawieszony na poręczu łóżka, aksamitka na szyi i czerwone rękawiczki, które mamy od zawsze przyklejone do dłoni. Na ławce pod oknem serca wyryte w korze, pierzaste imiona wiernych kochanków, Romeo i Julia znużeni sobą i senni. Skórzane worki są puste, głębokie gardła wyschnięte, ludzie to kupią, podobnie jak baśnie o czarodziejskim kwiecie i o sowie córce piekarza. Piszę rozpędzając tekst do plus nieskończoności, potrzebna jest mi garść żyta i kropla wody, aby zwolnić tempo liter, wielokształtność sylab. Proszę was o modlitwę, bym mógł zatrzymać się choć na chwilę. Nasze grzeszne czyny, nasze nieczyste intencje. Lubię kompozycje złożone z wielu figur, opowieści o kobiecie i mężczyźnie spętanych sobą i o spokojnych morzach, w których można zanurzyć się na zawsze. Uspokojenie jest coraz bliżej, dlatego poruszamy się niespokojnie, walczymy ze sobą, poszukujemy nowych talizmanów na szczęście i na niepogodę. I tylko to jakże niebezpieczne pokonywanie przestrzeni na pustej autostradzie.

Widziałem dzisiaj na rynku muzyków grających na bębnach, ulice odpowiadały echem, starałem się usłyszeć jak najwięcej uderzeń o skórę naciągniętą na metalowych obręczach, zobaczyć parowe młoty ze starej piosenki i drobny plankton dźwięków. Igły wbijały mi się w ramię szybciej niż zwykle, kapela grała coraz głośniej. W tle widziałem pasy namalowane na szybie i reklamy rzeczy niepotrzebnych. Moje grubokościste ciało ulegało przyptywom i odpływowom, wolałem nie patrzeć w lustro i na skalę wagi. Muszę schudnąć, muszę ulec wiosennej przemianie i pójść do najbliższej kaplicy ukorzyć się przed Panem. Lekcja cierpliwości jest coraz bliżej, tłuczemy szkło, wypowiadamy tajemnicze słowa i zaklęcia, wyjmujemy nasze szklane oczy i wysyłamy je na księżyc. Kupię płytę, kupię sobie kogoś do pary, o przyjaźń jest tak trudno, o seks jest tak łatwo. Żyjemy ułatwionym życiem, nasze proroctwa się nie spełniają, niekiedy pozostają z nas same tułowia bez rąk i nóg, za to z ogromną głową. Zła godzina, czyja to dziś ostatnia godzina, czy wtór pogrzebny, ile minut w godzinie, a godzin w wieczności; w kaplicy jest ciepło i cicho jak w twoim łonie, podskórne nurty, przepływy krwi i gorącej magmy. Bębny grają dalej, ich monotony łomot bije w moje skronie i nikt nie zauważa, że poruszamy się coraz bardziej płytko nad powierzchnią ziemi.

Piszę o sztuce, od pewnego czasu piszę o sztuce. Sztuka mnie oślepia, nie jest wdzięczna ani zadowolona ze mnie, jest kapryśna i trudno jest ją zdobyć i podejść. Najwyraźniej chce, ale boi się, jak niektóre panienki. Sztuka nie jest niewinną panią, ma grubą skórę i twardy pancerz. Przypomina żuka gnojnika skrzyżowanego ze skarabeuszem. Zatarła mi piaskiem oczy i mówi głośno, że moich rąk „żałować nie trzeba”. Nie rozumiem jej słów, nawet nie staram się jej zrozumieć. Przychyliłbym jej nieba, ale ona w niebo dzisiaj wyjątkowo nie wierzy. Wierzy chmurom, obłokom, ptakom, gwiazdom. To jej w zupełności wystarczy. Za oknami wieje wiatr, sąsiad sprzedaje dom i od kilku już lat nie może go sprzedać. Żal mi go, ale nie stać mnie na kupno, ponieważ piszę o sztuce, a moje usta nie kłamią. Pisząc, wyobrażam sobie odpoczynek od pisania, łódź z wiosłami, szuwary, dzikie kaczkę, szelest wody odbijający się od wiosł. Na palcach lewej ręki pojawiają się odciski od twardego drewna. Dlaczego tylko na lewej ręce? Czyżbym był bliższy myśleniu prawicowemu? Tak sobie żartujemy, kumulując błędy istnienia i nowe zagadki bytu. Coś za coś, ktoś za kogoś, aż zawiruje nam w głowach od wodnych wirów i znajdziemy się nagle w kołysce ziemi, na samym dnie, gdzie algi i cisza zielona trwają nieporuszenie. Dziób naszej łodzi ustawi się pionowo, a rufa popłynie w dół wraz ze wszystkimi rozbitkami. Widziałem coś takiego na filmie, piękny obraz wzniesienia i ostatecznego upadku tuż nad ranem, kiedy wieje wiatr, ale o tym już pisałem i nie powinienem się powtarzać, tym bardziej, że w pobliżu jest tak wiele nieodparty tematów i intrygujących fabuł, które odpływają ode mnie na tratwie jak puste w środku, pospiesznie zbite, ratunkowe skrzynie. Wydrążony świat, tak to widzę, o niewyraźnych konturach, zatarty i zmęczony sobą. Katastrofa, którą muszę przeżyć, aby dać świadectwo prawdzie.

W końcu korytarza moja córka i wnuczka. Nie ma korytarza, jest plac przed szkołą i schody amfiteatru. Nie wiem, dlaczego korytarz, nie wiem dlaczego ściany i lampa zakończona żarówką na drucie. Kto będzie następny, która z moich miłości ukaże się nagle i powie, że też mnie kocha. Ze ścian osypuje się tynk, straszny tu nieporządek, moje miłości są nieporządne. Gram z nimi złotymi kartami, ofiaruję zabawki w kształcie dinozaurów. Dinozaury są teraz modne, podobnie jak Sodoma i Gomora oraz pewna kobieta zamieniona w słup soli. Mówili o niej w telewizji. Archeolodzy znaleźli ją w pobliżu Martwego Morza, była ostatnią niesprawiedliwą czy kimś takim. Lubię tę opowieść, ma w sobie słony smak i jest tak bardzo boska w swej wymowie. Miasto grzesznych módl się za nami. Jest ponad nim kilka horyzontów, stare rzeźby walają się tam po kątach jak kolokwializmy. Koryfeusze niosą dary, straszni mieszczenie trącają nosami nocniki, wszystkie sidła wykonano z górskiego kryształu. Zaczynam odlatywać i proponuję wam też odlot na najbliższą planetę. Wyścig ramię w ramię, świszczą szpicruty, na siodłach leżą stare manekiny. A miało być tak pięknie córeczko moja. W imię ojca i córek i ducha świętego. Tak się modłę nad ranem ufny, że zostanę wysłuchany i nikt nie spuści mnie z zapluty schodów, nie wyrzuci na śmietnik z amfiteatru, gdzie płynie żywa woda, gdzie nie ma kłamstwa ani cierpienia i gdzie moje dziewczynki idą na spacer w ten dzień deszczowy, do domu albo na zakupy i nikt tego za nas nie zrobi i tylko ta kobieta ukarana przedwcześnie, bez możliwości apelacji i ostatecznego odwołania.

Jest już późno, oddaję się aktom strzelistym, jestem pełen skruchy, jestem w stanie półpłynnym. Natura nie czyni przeskoków i nie wiem, skąd mi się to wzięło, cytaty z pism dawnych, o których wszyscy zapomnieli. Staram się to zrozumieć, ale jest już zbyt późno na myślenie o cudzym myśleniu. Maluję akt przerywany, wiem, że stosunki przerywane są niezdrowe i nie zawsze skuteczne. Lepiej oddawać się skrusze i więcej nie grzeszyć. Stosunek przerywany jest grzechem, podobnie jak rokosze onanizmu. Człowiek nie może się ruszyć, by nie zgrzeszyć, chyba, że jest artystą. Artystom wolno więcej, podobnie jak budowniczym katedr i ludziom garbatym od urodzenia. Pozwalam się nieść niespiesznym porównaniom. Kocham porównania, kocham aktualne kurtyny i zwinięte po uroczystościach czerwone dywany. Kto dostanie dzisiaj nagrodę, kogo pominą? Jak uwznioślić nasze czyny i jak pogodzić się z milczeniem gwiazdnych przestrzeni? Zasklepiam swój wzrok, widzę tęczę wewnątrz i kilka powidoków. Patrę na czyste barwy, łączę je jednym splotem farby. Akt rozpada się na fragmenty, tło ucieka w kosmos, pokoje, w których jestem, zasypiają przede mną razem z psem i kilkoma krzesłami. Ważne są moje rozszerzone źrenice, one też płyną w nieznanym kierunku. Akt schodzi ponownie po schodach i myli kierunki, szczególnie te bliższe naszemu światu. Potęgi są nietrwałe, okruchy spadają na ziemię, ruch zamiera, pisarze opowiadają coraz bardziej niestworzone historie. Muszą się wyróżnić w tłumie, ich onanizm jest obfity i podlega interpretacji.

W starych kamienicach jest tynk, który opada na ziemię i brudne firanki zawieszono na odrapanych oknach. Niemcy już nie przyjdą, nie mają powodu, aby zamienić stare kamienice na nowe. My nie mamy pieniędzy. Przez dziurę w stropie prześwituje niebo. Jest ciepło. Czasami wydaje mi się, że jeszcze się nie urodziłem, to bardzo dziwne uczucie, nie mam też swojego imienia, nazwisko jest niepewne. Siedzę w ogromnej sali i słucham wykładu na temat mojego życia. Prelegent wie o mnie wszystko, jest czuły i pełen dobrych intencji, emanuje z niego mądrość i zrozumienie dla innych. Chce mi się rzygać, patrzę na niego i chce mi się rzygać. Staram się coś przeciwstawić jego dobrym manierom, ubieram w stare wyliniałe futro, na ręce zakładam mufkę mojej babci, opowiadam o praroślinie i o tym, że wszystko zaczęło się od pierwotnego ziarna, które spadło na podatny grunt. Słyszę jak ponad dachami przelatuje stado spłoszonych ptaków. Nikt ich nie powstrzyma, światło jest zbyt oślepiające. Musimy powrócić na ziemię, zapukać do drzwi, rozejrzeć się po pomieszczeniach, w których będziemy mówili o sztuce. Nie mam żadnych notatek i będę przez to surowo osądzony. Może to i lepiej, mówię o poezji, o tym że prawdziwa poezja jeszcze nie została napisana. Ślizgamy się niezdarnie po słowach. Pod stopami warstwy węgla, cienkusz kredą zabielały. Białe na czarnym, czarno na białym. Nasze flagi są pełne anarchii. Dzisiaj postanowiliśmy wszystkie gąbki przywrócić głębinom morskim. Akcja bezpośrednia, głosimy chwałę sztuczności w granicach Natury. Jeżeli możemy wszystko zmienić i zatrzeć, to po co coś zmieniać. Pan i służący będą na swoich miejscach, podobnie jak my kochanie, zagubieni na tej klatce, o tej porze roku, w tym mieście i nikt nam nie może dzisiaj pomóc.

Poszukiwanie tematów, łowy na grubego zwierza, czytam i piszę, piszę i przeżywam, przeżywam i wydalam, koło wiecznego powrotu kręci się coraz szybciej. Rzućmy to wszystko w diabły i zajmijmy się sobą, powoli, od początku, najpierw sukienka i tak dalej, ustanowimy rekord świata w rozbieraniu dogłębnym i systematycznym jak lemury potto, gatunek na wymarcium, pełen buntu i o dużych oczach, który żyje na Sri Lance i o którym czytałem kiedyś w mojej ulubionej książce przyrodniczej z pięknymi ilustracjami, zdjęciami z wrocławskiego zoo czasów komuny, kiedy wszystko było prostsze i ludzie mieli pracę u podstaw, za półdarmo, ale pracę, a nie to co teraz. Nasze rozbieranie postępuje bardzo wolno, używamy do tego skalpela jak Boski Markiz albo Baron Münchhausen. Patrzę na ciebie przez palce, wiem, że z tym Baronem to nie jest prawda, ale czym jest prawda, w tym prawda literacka. Patrzę, jak szybujesz nade mną, a ja pokorny i niezbyt męski klęczę jak zawsze upokorzony przez boginię i mieszczę się w czasie widowni, nie sceny, „czas sceny”, że też wcześniej na to nie wpadłem. To ciekawe określenie, wiem, że ten czas musi być specjalny i inny, zawarty w gestach aktorów, czynach kaskaderów, kurzu scenicznych desek. Myślę o napięciu, jakie powstaje pomiędzy nimi, o satyrach i nimfach białoudych. Ach te aktorki, kokietki i markietanki, ulepione z miękkiej i podatnej na miłość gliny, często nie panują do końca nad sobą i oddają się byle komu w garderobach i na zapleczu teatru. Lepiej je coraz dokładniej, powtarzam akt Boga, który wprawdzie wolał mężczyzn, ale w końcu się zreflektował i napisał drugą część swojej zwięzłej opowieści. Zawarłem z nim przymierze, staramy się nie wtrącać w swoje sprawy, zachowywać niezbędny dystans, podczas gdy ty jesteś już po drugiej stronie, przezroczysta i wiotka jak liść paproci, leżysz na siatce utkanej z mchu i wilgoci, na promieniach światła, które przenikają twoją nieistniejącą już skórę. Mierzymy przestrzeń, która nam jeszcze pozostała, badamy dystans ucieczki, kulę czasu, zdobywamy kolejne zamki my, rycerze błędni i obłąkani i potrzebne jest nam kolejne ciało, jedna zapałka, która wszystko podpali, abyśmy mogli płonąć jak krzew gorejący lub odległe miasto słońca. Nasza opowieść nigdy się nie kończy i nie zaczyna, Boski Markiz też nigdy nie zasypiał.

W kamienicy pod nietoperzem śpi się w dzień i ożywia w nocy. Najdrożsi mieszkańcy mieszkają na parterze. Im wyżej to gorzej i głośniejsze, gorzko gorzko wołają i niekiedy spadają razem z windą. Ktoś dowozi napoje artystom, anioł stróż, mój ulubiony bohater, jest jeden dla wszystkich i więcej aniołów tu nie trzeba. Mój pokój jest nieco wysunięty poza lico ściany, dzięki czemu widzę, jak po parapetach chodzą koty, a w rynnach mieszkają stare gołębie. Niekiedy snuję o nich tajemne opowieści, które nie są dla was, raczej dla nich, ale one ich nie słyszą, zanurzone w pierzu i pieprzu jak na dawnych rycinach o Ameryce, gdzie niewolnicy i czarne niewolnice wiszą na suchych gałęziach tuż przed uwolnieniem z niewoli. Sąsiedztwo zobowiązuje, podobnie jak szlachectwo i bycie lokalnym patriotą. Niedługo będzie marzec i koty zaczną się wdrapywać na najwyższe gzymsy, miaucząc sobie tylko znane pieśni miłosne, a ja wtedy otworzę okno i będę patrzył na księżyc w nowiu i zajmował się sztuką przesyconą pierwiastkiem lirycznym albo czymś podobnym, ponieważ uwielbiam sztuczne rygory i sztuki linokoczków nad przepaścią Wielkiego Kanionu, gdzie nie byłam i raczej już nie będę, ponieważ nie mam pieniędzy na dalekie podróże, a moja lina zaciska mi się coraz bardziej na gardle, podobnie jak skrzydła nietoperza i dach, który jest dziurawy pomimo licznych remontów; umówmy się, mamy do czynienia z ruiną człowieka, któremu słabnie wzrok, a i te sprawy nie najlepiej jak to na starość, a tamte, jakie tamte, tamte też nie najlepiej i gdyby nie nadzieja na niebotyczną włóczęgę po śmierci i zahaczenie o Kanion byłbym bardziej smutny niż zwykle jestem, a tak...

Piszę o blasku nocy, jest noc, o odbłaskach na szybie, o przechodzeniu od myśli w bezmyślność, od dźwięku w stronę ciszy. Wszystko układa się w jedną linię równoległą, nieznaną matematyce i przenika mnie szelest wszechświata, który szeleści jak bibułka po pomarańczy pozostała z dawnych czasów, kiedy to przechowywaliśmy wszystko co egzotyczne i dalekie, ponieważ nasz świat składał się z rzeczy bliskich i ludzi z pobliza, a odległość była ogrodzona żelazną kurtyną jak nieprzeniknionym parawanem. Refleksy, nadal refleksy, poezja refleksyjna jak reflektor i rekolekcje, moja pasja bez krzyża, za to z coraz większą ilością tajemnic, która skłania mnie do nieliczenia się z nikim i z niczym, ponieważ jestem władcą snów i znam wszystkie pytania, nawet te, które pozostają bez odpowiedzi istotnych, jak stare panny albo niepotrzebne już klucze, których mamy pełno w szufladach i nie wiadomo, co z nimi zrobić, przecież nie będziemy kupowali kolejnych zamków, aby dopasować, tym bardziej, że mijają kolejne nasze lata i zimy, a przepowiednie się nie sprawdzają, gdyż sami jesteśmy najważniejszą z przepowiedni i daliśmy się zaskoczyć słowom, frazom, zdaniom, bezbronni wobec nich jak błyszczący więzień, którego obserwują nieustannie strażnicy stojący w cieniu, milczący i silniejsi od powietrza.

Proza mnie przytłacza, paznokcie rosną jeszcze po śmierci, a proza mnie przytłacza. Jest tyle prozy, gdzie się nie obróć proza i proza. Słyszę pieśń „ludu mój ludu”. Lud mnie przytłacza, podobnie jak „cóżem ci uczynił”. Męczy mnie wszystko, co jest z tego świata. Na twarzy zmarszczki, kupujemy perskie dywany tkane przez dziewice, mają charakterystyczne frędzle zaplecione podwójnie. Oczywiście, wymyśliłem to sobie, aby oderwać się od prozy i od ludu. Za to zmarszczki są prawdziwe, podobnie jak walka z czasem i ciemną stroną mocy. Nie osiągam satysfakcji, nie osiągasz satysfakcji, najogólniej mówiąc: nie osiągamy satysfakcji, ale po co nam satysfakcja. Brak satysfakcji jest równie dobry, a może nawet lepszy, ponieważ niesie w sobie ładunek energii niezbędny dla dalszej twórczości. Pozostawiam sobie wybór broni i charakterystykę przeciwnika. Moje kodeksy honorowe są coraz cieńsze, podobnie jak chęć słuchania wszystkich symfonii Beethovena i przemówień aktualnych polityków. Walczę nadal, robię to dla was, ponieważ zostałem wybrany i muszę nieustannie zakreślać na ziemi kredowe koło, czytać stare teksty, zostawiać na stolikach bilety wizytowe na wypadek, gdyby ktoś chciał podjąć rękawicę i zmierzyć się ze mną na słowa. Moja muza odwraca twarz, gotuje obiad, coś z niczego. Święty starzec dzisiaj do nas nie przyszedł. Ale zostawiliśmy dla niego talerz i trochę okruszków chleba, może przyjdzie i przyniesie w kieszeni obole z papieru, które już niczemu i nikomu nie służą.

„Pegaz na szafocie”, dobry tytuł, „Windą na szafot”, też nie jest źle. Miałem kiedyś dobre pomysły, tytuły dzieł zebranych przychodziły do mnie same i łąsiły się do nóg. Później rozwinięcie, opowieść o wersach, które rozrywają się na złączach, które nie niosą w sobie problemów współczesnego świata jak pieprz i wanilia. Widzę rozległe rozlewiska, moja wyobraźnia rozlewa się po łąkach, jest niespójna i coraz mniej zbuntowana. Minął czas anarchii, nie niosę już czarnych sztandarów, raczej ślimak i tylko czasem pokaż rogi i pierogi. Znalazłem dzisiaj podkowę na szczęście i swędzi mnie lewa ręka. To oznacza pieniądze, pegazów nie sieją, podkowy rzucamy za siebie, jest w nich skumulowany tętent koni, swobodny bieg po prerii. Nikogo dzisiaj nie zgorszyłem, mój blog powszedni jak chleb, jak kromka chleba. Pozwalam się mu nieść prosto na szafot, gdzie ktoś ukrył topór i narzędzia tortur. Jest tak wiele inspiracji, potoczyste anioły, niepokalanie poczęci, cięcia mieczem, bitwy o Narwik albo o Tobruk, nie pamiętam. Opadam coraz niżej i nie będzie mnie już przez to można skazać na karę śmierci. Włosy podpięte samodzielnie, ostatnie życzenie spisane starannie na kartce wyrwanej z gazety. Koronny świadek jak zwykle nie przyszedł, najprawdopodobniej już został ścięty razem z koroną. Pocięta mnie duma zwierząt, są takie niezależne, nawet jeżeli obetniemy im skrzydła, lecą dalej przez wieczność. Mówią do mnie: tnij mocno, twoja ręka powinna być pewna, twój umysł nie może się mylić.

Wyobrażam sobie niektóre przedmioty, nie rzeczy, ale właśnie przedmioty. Później wyobrażam sobie sferę myśli, muszą mieć jakąś w swojej zamkniętej przestrzeni, w tym ciasnym, kościanym pudełku. Nie mamy wyobraźni życia, życie jest niewyobrażalne, związane z nim myśli powinny być posłuszne i starać się przetrwać. Wiek dwudziesty szczęśliwie się skończył i nasze życie trwa w nowym tysiącleciu. Niewiele to zmienia, widzę potłuczone szkło pod murem, wędrownych grajków z okaryną, śmieci rozsypane na ulicy. Drobnie obserwacje pozwalają mi przetrwać, napawają entuzjazmem, śpiewamy kolejne sto lat, a może dwieście, medycyna czyni ostatnio oszałamiające postępy. Poszukuję trafnych słów, aby opisać stany duchowe ludzi, których spotykam, którzy mnie spotykają i przez których przechodzę jak przez powietrze. Są przezroczyści jak dawna proza, a ja trwam w przestrzeni jak monolit i nie można przeze mnie przejść, zawadzam innym na drodze, dlatego mnie omijają, mają za złe, nie słuchają rozwijającej się frazy, która jak kaskada spada z kolejnych zdań rozpedzonych i ostrych, docierających do jądra brzmienia, do sfery wyznaczonej przez szklane harmoniki kręgi. My romantycy, walczyliśmy do pierwszej krwi i pamięć nie grozi nam dłużej. Zatrzymaj, pamięć nie grozi nam dłużej, to ładne i jakby zatrzymane w kadrze współczesności. Pojednajmy się też z ostatnią miłością, z tchnieniem huraganu. Wynieśmy starą pościel na światło słoneczne, ile tu muślinu i dobrych zdarzeń, ile zdarzeń. Po tym wszystkim należy się nam nieco spokoju, odpoczynek od wyobraźni, wam też, jak zapach jabłek, który przypomina dawne czasy i życie zapomniane na samym dnie dni, przeze mnie lub przez nieuwagę.

Na początku byłem chaotyczny. Na końcu będę chaotyczny. Pomiedzy same niepokoje i nie wiem, jak złożyć z siebie spójną całość, coś, przynajmniej na początku, solidnego. Nieustannie spotykam solidnych ludzi, ich na półśpiące oczy, ich na palecie trwałe farby. Napinam łuki do odlotu, patrzę, jak na powieki spada mi ostatnia kropla nieba. Kojarzy mi się z seksem, niebo kojarzy mi się z seksem, tęcza z fallusem, strażak z dużą sikawką. Skojarzenia są nieznośne jak młode kobiety, jak młode konie, na których galopujemy po papierze. Połóż się na ich grzbiecie, my amazonki mamy jedną wypaloną pierś i lubimy się tarzać w piasku na brzegu czarnego morza. Przychodzą wtedy dojrzale kozły i wszystko jest tak jak zawsze, po prostu odnosimy kolejne zwycięstwo. W rękę nosisz bicz ze skóry, a na drugiej piersi lateks i kilka łańcuchów. Łączymy się w biegu, nurtuje nas myśl o wiecznym spoczynku. Owiewają nas cztery wiatry domagające się nowej mitologii. Nie da się wywieść jej z chaosu, przechodzimy obok zapatrzeni w siebie, aż zamienisz się drzewo albo w strumień złotych monet. Przewyciężyliśmy nasze życie, na ofiary jest już za późno. Przemysł to jeszcze raz, pomyśl o nieustającej łasce, która płynie do nas od pierwszego początku, bez względu na to, jaki był i dlaczego uległ przemianie. Bez względu na nas, którzy przemijamy tak niepostrzeżenie patrząc na rozpalone wcześniej przez kogoś ogniska, na drugi brzeg, gdzie ktoś się porusza uważnie na nas patrząc.

Ten upór, aby powracać do dawnych tekstów, ale to nie jestem już ja, do kogo zatem powracam. Kim wtedy byłem, pisząc o naturze z żaglem albo o wypolerowanych ludziach. Skojarzenia przychodziły tak łatwo, absurdy mnożyły nieustannie i wszystko było podbite umoralniającym posmakiem grzechu i zbawienia. Dlaczego wtedy pisałem o galerach, które płynęły po ciepłych morzach, o tym, że trzeba im zejść z drogi, o monotonii snu, o przeprawach przez góry skazanych na niepowodzenie i przypadkowe lawiny spadające ze stoków. Baśń o rycerzu pozbawionym zbroi nawet wtedy nikogo nie interesowała. Jest już marzec, układamy pasjansa z padającego deszczu i zesłorocznych liści. W kącie ogrodu stoi choinka, której nikt dotąd nie wyrzucił. Liczymy na trochę szczęścia, na nowe nazwy miesięcy. Na żaglach z pajęczyny mali żeglarze piszą kolejne opowiadania. Patrzę na ich nieudolne próby, staram się o nich po raz kolejny opowiedzieć, ale ich przecież nie ma, podobnie jak rycerzy, lawin i galer. Nic rodzi nic, powstaje doskonały stan marzenia. Chylę w jego kierunku głowę i wnikam w moją prywatną nirwanę, która przychodzi niezapowiedziana i naga, z czym nie mogę się do końca pogodzić.

Pisałem też o ślepych ulicach, chcąc nadać całości brzmienie pieśni protestującej przeciwko ślepecie, która na otacza. Pojawiali się bladzi murarze pracujący na tej ulicy, glob skręcony jak dialektyczna sprężyna, chleb, którego nikt nie chciał jeść, wino i igrzyska. Najlepiej wypadały koty drapiące pazurami bruki, kieszonkowe drapieżniki, które wpadały w krąg światła latarni i wychodziły z niego z okrwawionym pyszczkiem. Moje słowa układały się w rodzaj hymnu, którego nikt dotąd nie napisał. Określenia w stylu „ślepej uliczce wejść pozwólcie na trotuary spojrzeń jasne” wydawały mi się trafne i odpowiednie do sytuacji, w której się znalazłem. To była walka ze słowami, które biegły w swoją stronę, zapominając o mnie stojącym z tyłu i opuszczonym doszczętnie przez Boga i ludzi. Potrzebni mi byli kolejni ślepcy i kolejne ulice, trochę litości, białe laski, przeszkody do pokonania i ociosania świata rzeczy z przedmiotów, aby mogły na nowo dźwięczeć i mówić własnym głosem. „Synowie bruku noc hołdują”, to ładne i wzniosłe zarazem, ale kto dziś pamięta o tym, czym jest wzniosłość. Nocny stróż zasnął przed wejściem do wyschłych i zrujnowanych klatek. Całości obrazu miała dopełniać drapieżna miłość dziejąca się w ślepej uliczce, ślepa i zaciekle, pozbawiona litości dla ludzi, którzy wiedzą, a nie widzą.

Prosiłaś, abym podał ci rękę, ogrzała, jest tak zimno i nie zapowiada się, że będzie inaczej. Czytamy o bazie ludzi umarłych, o archipelagu ludzi odzyskanych, lubię te tytuły, bez względu na treść i wymowę, żyję na szczątkach wulkanu, patrzę na lawę wylewającą się z wnętrza ziemi. Jest nam dobrze razem, płyniemy niezauważalnie, nie boimy się Czarnego Luda, gąski gąski do domu, pokoje do wynajęcia kolejne i kolejne, jest czas cętkowany i wytarty na łokciach. Idziemy pieszo z węzełkiem na plecach, zawsze w podróży miłośni wędrowcy, dosiegamy do siebie i od siebie, poziome postoje, zapchane ubikacje. Dochodzimy do naszego domu po latach i nikt tego nie zauważa. Moje małe obsesje, niepewny grunt, który się zapada. Przytul mnie mocno, jak w piosence sprzed lat, jesteśmy niedzisiejsi, oprowadzamy po naszym ogrodzie duchy zmarłych przyjaciół. Przyszedł nawet Lord Jim, ma nam wiele do powiedzenia o koralowych oceanach i o poczuciu obowiązku. Ogród się rozszerza na okoliczne place i podmiejskie łąki. Pielgrzymi fali unoszą na grzbiecie morskiej piany, przypominają oddzielne słońca tańczące w czasie huraganu. Twój taniec brzucha sprzyja nowym narodzinom kolejnych dzieci i wnuków. Jesteśmy sami, nie jesteśmy sami.

Musimy rano wstawać, zakończył się wiek złoty, nastała epoka kamienna i ciemne światło na obrzeżach dnia. Na szczęście umarło kilku złych ludzi, na nieszczęście umarło kilku dobrych, jest remis, na szczęście kilku pozostało i mogą dać świadectwo zarówno kłamstwu jak i prawdzie. Czas uczyć się wszystkiego od nowa, fizycy ostatnio donieśli, że nadal nic nie wiedzą o istocie materii i ducha. Meandry literatury przybierają barwy czarno- białe podobnie jak nowa kosmogonia, opowieści o gigantach i o dalekiej Ameryce matce demokracji. Dostałem dzisiaj od ciebie cukierek wypełniony treścią gorejącą. Muszę go wysać, a później twoje sutki i słodycz brzoskwini polewana sokiem z mango. Rozmawiamy o twórczości Arcimbolda, leżąc na poduszkach pełnych leśnego puchu. Jest taki na pałkach tataraku, potrafi być realny i nierealny zarazem, staramy się zrozumieć istotę owocu, niektóre dzieła malarskie i literackie, sprawy związane z życiem pozagrobowym. Przysłaś do mnie, ponieważ kupiłem ostatnio spore miasto, a ty lubisz ludzi bogatych i wpływowych. Będę musiał sprawić, aby zapadło się pod ziemię. Nie lubię obcych ludzi i po nas choćby potop. Tak będzie najlepiej, usiądziemy na czwartym słońcu i oddamy się miłości. Ona zwycięży nawet w głębi naszej dżungli, tuż obok stadionu miejskiego i pętli tramwajowej tramwaju jadącego na Gaj.

Modliłem się dzisiaj do mojej gwiazdy. Bądź jak najbliżej, niech cię dotknę i przemienię w słowa. Pozwól mi zajrzeć w głąb drogi mlecznej, zedrzyj jej ciemną maskę, pozwól uwierzyć, że słońce też wschodzi i że gwiazdy szepczą do siebie spragnione obecności człowieka. Moja kosmogonia pisana na obrotowym fotelu. Wschód, zachód, północ, południe, można tak kręcić się bez końca i wracać nieustannie do punktu wyjścia. Czerń kryje się za rogiem, za cieniem ulicy. Czytamy z naszych dłoni, linie szczęścia, miłości, nienawiści, lenistwa, obojętności. Wyspy życia, wyspy umarłych dzieci, nasz grzech powszedni. Patrzymy na kopuły świątyń na nowych planetach, opalizują za odległym horyzontem, tworzą góry światła, którego nie ma. Stwarzamy je i unicestwiamy, jako artyści mamy zawsze rację. Liczę nasze zmarszczki, do stu, do dziesięciu. Powstają między dawnymi i nowymi laty. Można coś poprawić, zatrzymać, zobaczyć jeszcze raz, ukryć, ale ty nie potrafisz przestrzegać norm i zasad niezbędnych podczas spotkania z gwiazdami. Nie umiesz się modlić, zapominasz o zdrowiu Marii i naszym Ojcu, który jest...

To wszystko się wydarza, nam, innym, zapomnianym. Miejsca, których nie pamiętam, istnieją nadal. Przyjeżdżamy tam z nieistniejących dworców, wsiadamy do dorożek, które stoją na porośniętym trawą bruku. Konie patrzą na nowych przyjezdnych i trzeba im zdjąć worek z owsem i przepędzić stado wróbli żywiące się resztkami ziarna i słomy. Niedługo będzie wiosna, przestępujemy z nogi na nogę, chuchamy na zgrabiące palce, jest zimno, na pewno będzie padał deszcz. Nie zapomniałeś jeszcze alei, którą kiedyś widzieliśmy i dźwięków fletu pojawiających się zawsze wtedy, kiedy odnajdujemy tu siebie, obok skorup żółwi z Galapagos i ptasich piór zgubionych nieostroźnie przez wielkie albatrosy, które tutaj uwiły swoje gniazda. Zaciskamy ręce, dotykamy bioder i wnętrza ud. Jesteśmy tu tylko przejazdem i nie możemy pozostać zbyt długo, jak to w podróży miłość pośpieszna i nie do końca spełniona, może ktoś patrzy, przestań, tak nie można stojąc pod drzewem jak zwierzęta ukryte pod liściem, wygnane z owoców tej krainy, tracimy oddech i nasze ślady zapadają się pod ziemię, ślady pierwszego spełnienia po wygnaniu z raju, jak zawsze brak harmonii i odwiecznego piękna, nie mówiąc o zrozumieniu dobrego i złego, nie mówiąc... tylko bełkot ciała ubrudzonego błotem, poruszenie osi, wokół której wszystko się obraca i masz rację, można przemienić się w spiralę lęku i gdzie jest mój jeden but, został po tamtej stronie i jak wrócić do domu przemoczony, coraz starszy, coraz bardziej doświadczony, unurzany w życiu jak w brudnej wodzie z pobliskiej kałuży i wiem, że ludzie umierają na serce albo na wylew miłosny, ilu tak zeszło świętych starców i później Ewa zostaje samotna, z dwójką dzieci, z których jedno musi zginąć przedwcześnie i myślimy nieustannie o tej opowieści niesprawiedliwej u źródła i z zasady, my sprawiedliwi o rozszerzonych żrenicach i wytartych kolanach, na dworcu, tuż przed odjazdem z drugiego peronu o piętnastej dziesiąt.

Podróży ciąg dalszy. Patrzę na grafitowe niebo, na liczne retusze Pana Boga. Nie wszystko mu się udaje, jak zawsze w sztuce, można by coś zrobić lepiej, w sposób bardziej doskonały, ale trudno, nie wymagajmy od niego zbyt wiele, po prostu postarajmy się nie zagubić w jego otchłaniach i porównajmy noc do buteleczek z kryształu stojących na stoliku w twojej sypialni i pachnących nieustannie mirrą, złotem i kadzidłem, których nie potrafię się pozbyć w pierwszym rzędzie, podobnie jak zachłapanych nieostrożnie oczu i piosenki sprzed lat o wietrze, który niesie z sobą wszystkie odpowiedzi na pytania zadawane przez jednego człowieka, który najprawdopodobniej nigdy u nas nie był i nie zna naszego romantycznego języka, w którym tak wiele można wyrazić i nawet przeczytać o pewnym rycerzu z Hiszpanii kruszącym kopie na wiatrakach albo o ziarnie rozgarnianym na polu przez pracowite ręce, biały pył, nie wiem skąd przyszedł do mnie biały pył i bezgrzeszne lata, ciemne wnętrza naszych snów, uczucia na smutnym obliczu, czytam dalej i wiem, że dobrze jest przygotować się starannie do dalekiej podróży i znaleźć wielką miłość w jakiejś karczmie lub w księdze o złoconych brzegach.

Jestem coraz bardziej doskonały, doskonalenie postaw, podstaw literatury. To pomaga na co dzień, żeby przetrwać. Spieram się z małymi ludźmi, którzy mają władzę. Nie bardzo wiem, po co to robię. Mógłbym ich wziąć za włosy i wrzucić do najbliższego szamba, ale kultura, ale wychowanie. Sto lat niepomyślności jest coraz bliżej, ta nić czarna się przędzie, przedstawiciele ludzkości najwyraźniej chcą żeby umarł albo wyjechał na księżyc. Najczęściej są właścicielami magła i to powala im przetrwać. Moja fortuna toczy się kołem wiecznego powrotu i wraca w to samo miejsce. Nie ma tam nikogo oprócz mnie i tekstów przysypanych popiołem. Na wierzchu kilka diamentów, ucho igielne i wielbłąd, który pomaga mi przejść przez pustynię życia. Mój profil jest coraz bardziej wyraźny, wbija się w piasek i zostaje tam na zawsze głęboki i przemyślany graficznie. Obok magiczna latarnia, w której wyświetlam liczne naturalistyczne obrazy. Możecie je zobaczyć przy odrobinie dobrej woli, podobnie jak podziemne lasy lub niewinnych czarodziejów, którzy kładą nas spać o świcie i sprawiają, że drzewa luny wychodzą na łów w przepaskach, które tak łatwo jest rozwiązać. W dole listy pisane na różowych kamieniach, otwarte i gotowe do odczytania. Widzę, jak bogini roztopiona w lukrze zlizuje sama siebie, a ja towarzyszę jej w tym obrzędzie jako poeta na wskroś liryczny, w tym obrazie w coraz większym stopniu zagubiony i martwy.

Mój świat prowincjonalny jak co dzień. Świat zabity deskami, palce przybite do klawiatury jak do krzyża, Wołanie o słów wielkich prawdziwą krainę, staczam się coraz niżej, dyskutuję z obcymi ludźmi o literaturze, przeżywam upadek moralny i finansowy, mój grób i moje zwycięstwo. Wczoraj dopinałem widnokrąg i nie mogłem go ostatecznie zakreślić, ponieważ okazało się, że podlegam karze dożywotniego niezrozumienia. Muszę się z tym pogodzić, wyrwać murom zęby krat, patrzeć na odchodzącą młodość, walczyć w wadze lekkopółśredniej. Myślę o ciężarnych domostwach, które musiałem opuścić, o genialnych słuchowiskach, których nie słyszałem. Jestem z wami, moje łyzy nabierają coraz większej wagi, czytam książkę skacząc po górach i przeskakując przez pagórki. Jest niezła, ile to już lat ją czytam. Muszę przestawić wazon na oknie, aby być bliżej widzów i czytelników. Wazon milczy, ja mówię. Płynie przeze mnie niezmienny strumień piękności. Mam tego dosyć, to nie pomaga mi w codziennym życiu, w którym niekiedy biorę przez zapomnienie udział. Przyszłe spełnienia, prosisz bezgłośnie o przyszłe spełnienia, ale jak je osiągnąć. Wbijamy gwoździe w klawiaturę, krwawi, boli, Pan nas opuścił, nasze odkupienie dopiero się zaczyna.

Nareszcie mamy balkon, na który nigdy nie wychodzimy. Widać z niego więcej niż z innych miejsc naszego domu, widać prawie wszystko. Powracają cudze sny o potędze, o amfiladach drzwi ciągnących się bez końca i początku, o rzeczach niewidzialnych tworzonych przez widzialne ręce. Mamy do nich złoty klucz i możemy usiąść na czarodziejskim dywanie, który zanieś nas na wyspy odległe albo na górę, gdzie muzy oddają się chętnie uznanym artystom. Sztuki piękne, sztuki brzydkie, sztuki z mięsa i pierza, sztuki kochające, sztuki pełne nienawiści pośród ogrodu, w którym zastawione stoły i białe obrusy poruszane z lekka szeptem tajemnicy. Moje wnętrze, twoje wnętrze, ich wnętrza muszą się tam połączyć. Inaczej nie dojdzie do koniunkcji dusz, do komunii słów i gestów. Obwiązuje tu swoista etykieta, hierarchie bytów, rozkoszne wyjadanie z dzióbka. Na powiekach narasta nam skorupa z cukru i dziegciu, stajemy się coraz bardziej podobni do tła, prawie niewidoczni na tle, stajemy się tłem. W tle szklana góra, a my nie mamy stalowych pazurów i butów ze stali. Nie uwolnimy królowy, nie zdobędziemy nagrody. Możemy co najwyżej przelecieć muzę poezji, ale jaka jest to w końcu satysfakcja. Uważam, że konieczne jest przybliżenie kamiennych balkonów do coraz bardziej ulotnego bruku. W ten sposób osiągniemy ideał sztuki i muzy będą zadowolone z naszych usług.

Jestem zmęczony, zapisałem się po raz kolejny do pierwszej klasy, ale nie chcą mnie przyjąć. Stoję pod murem, patrzę, jak kolejna komisja sprawdza, czy jestem autentyczny. Proszę podać średnią temperaturę podłogi, wielkość sufitu oświetlonego lampą, sposób toczenia wojen światowych, kilka piór i kałamarz. Już po wszystkim, na pewno nie zdałem egzaminu, ale po co mi to wszystko, po co kolejne stopnie wtajemniczenia i kolejne progi zapominania. Będą ludzie jak byli, fraza, która prześladowuje mnie od rana. Schematy zapisu, moja alergia na coraz dłuższe teksty. Pojawia się wysypka i krótki oddech, reaguję histerycznie, piję oliwę z miodem, moje serce nie chce się uspokoić, z dawnych rzeczy prawie nic nie pozostaje. Luźne kartki leżą na podłodze o odpowiedniej temperaturze. Ujawniam je bez czytania, lecą nieprzytomnie, jakby się chciały pozabijać. Wiem, że one chcą zabić mnie, takie jest ich przeznaczenie. Toczymy walkę na śmierć i życie, ludzie nas nie słyszą, słowa twe dziwnie koją i kołyszają i na pewno nie zawiodą nas donikąd.

To całe zapętlenie, włóczę się po mieście, na szczęście nikt mnie nie zna, stoję w galerii sztuki, patrzę na podłogę, na której ktoś położył parę desek połączonych metalową klamrą. Wychodzę, coraz częściej wychodzę, powinniśmy zacząć od początku, ale przecież nie ma początku, gdzieś o tym mówiłem, dlatego myślę o przebudowie podłoża, o darni wyściełającej znajome trumny, o płowych kolorach lasu, który za oknami pociągu nie chce zamienić się w zieloną dżunglę. Lustreczko nic nam nie mówi, zaciągnięte mgłą odbija czyjeś sny, musimy sobie z tym poradzić, podobnie jak z kolejnymi spotkaniami, jak ze zmarszczkami, jak z rymami, jak z naszym osuwającym się czasem, który przypomina most nad rzeką zapomnienia i tutaj przerwa, muszę przerwać, odczytuję na nowo nasz niegdysiejszy skowyt, wyjmuję z szuflad stare papiery. Jest tego sporo, cała fontanna papieru, a świat w tabletach i ekranach powielających ekrany. Modlę się o moją krainę, która mieści się na zapachu migdałowca, pamiętasz, nad morzem tuż obok muru starej twierdzy i nagły powiew cienia, oddech kamieni i modlimy się do wszystkich bogów, jacykolwiek są i wspinamy po schodach aż do miejsca, gdzie są inni ludzie tak samo zauroczeni i ten plac nieregularny, dźwięczący głucho i wystarczy przemienić jeden dźwięk, a nic się nie uda, nie powstanie melodia i miasto nie powstanie z tamtego lata we Włoszech jak opowieść, jak nasza młodość, mówisz, nasza młodość i po co to wszystko, po co my jesteśmy jak lalki w nieodmkniętej szufladzie, jak fabryka lalek, jak tytuł wzięty z gazety wydrukowanej minionego roku i uśmiech, odgarnięcie włosów z czoła, musisz się ostrzec, bo ci przeszkadzają, musisz zadbać o siebie, ale nie mamy pieniędzy, na nic nie mamy pieniędzy jako mieszkańcy dalekiego kraju, gdzie zima trwa tak długo, a cisza jest coraz bliżej nas nieokreślona i groźna.

Napisz coś dla mnie, ach te kobiety, pragną być opisane, napisane, zapisane, ciągle są spragnione słów, by móc milczeć samemu na każdy temat, będzie o życiu spełnionym, o najładniejszym dniu, o rzeczach dowolnych, ty nie istniejesz od dzisiaj inaczej jak w tym tekście dzięki niemodnym słowom od morza do morza i trochę dalej, od morza do brzegu zaczynamy nie zaczęty wszechświat. Ktoś powiedział nam wcześniej, że musimy mieć życie na własność, na zawsze i poznać prorocstwa fal unoszonych wiatrem, ktoś mówi do nas nieustannie, a ja staram się to zapisać i unieść wszystko ku górze ponad twoje włosy i skórę i zamknąć w powietrzu jak w bańce mydlanej, która pęknie, lecz skrzypce grają tu jeszcze, pamiętasz te wersy rozstrzelane w pałacu, gdzie wiele pokoi i wejścia do komnat władcy ciemności, zapadamy tam w siebie, mali powstańcy jak w środku zmierzchu i zaznajemy nieznaną rozkoszy jak w trakcie orgii z udziałem kolejnych więźniów, a miałaś napisać o mnie i nie wiem skąd ci więźniowie, skąd śmierć, nie wiem, jak zawsze, pokłady słów, które niosą mnie w nieznaną stronę i nie pozwól mi na to już nigdy, na zużyte zdania, na pamięć chorą i zamkniętą nieostrożnie w tym budynku.

Fragmety się mnożą, mają własne, ukryte życie. Potrafią nas zaskoczyć i mieć nieślubne dzieci, wykorzystują najmniejszy świat na najmniejszym ze światów. Nikt ich nie chce, ludzie pożądają całości, całego pudełka, a nie kosmyka włosów, resztki marynarskiego kołnierzyka. Lubisz słowo „splątanie”, jest pełne tajemnic i dróg bez drogowskazów. Lubisz chodzić po omacku, rozpalać zimne ognie i pić suchą wodę. To się jakoś nazywa w poezji, nie pamiętam, pamięć zawodzi mnie na manowce, rozpala kaganki ciszy, metaforyzuje dni, jakby chciała, żebym przestał istnieć naprawdę. Pamiętam litery wyryte na oparciu ławki, chude psy na podwórzu, dawne wojny, których nie doświadczyłem, toczące się kamienie, które toczą się przeciw nam wszystkim. Pamiętam prawdziwą miłość, złoty strzał prosto w serce i niemożność rozstania nad ranem. Ta pamięć nie jest mi już potrzebna, a na nową mnie nie stać, chodzę po prośbie, pożyczcie mi jakąś, chociaż strzęp, jakiś ochłap. Wchodzę do kościoła na rogu ulicy, kadzidła gryzą mnie w oczy, zapominam o zasadach obowiązujących podczas pozyskiwania łaski uświęcającej. Nagrobki świętych patrzą na mnie uważnie, kościelny zamyka drzwi na klucz, obawiając się profanacji.

Niczego się już nie obawiam, niczego nie potrzebuję, staram się żyć normalnie, jak inni, jestem obojętny na cudzą krzywdę i na przyziemne radości maluczkich. Jestem wytwórcą nastrojów, czekam aż powój oplecie ściany mojego domu, na wiosnę i parę takich rzeczy, których nie da się opisać. Pożądana jest prostota i patrzenie prosto w oczy. Czuję się jak złodziej, któremu się nie udało. Chandra początku wieku i nic więcej. Widzę szczęśliwych jeźdźców, jak spadają ze swoich rumaków, chmury, które wypuszczają pędy, półksiężycy oczekujące na pełnię. Proszę, zrób to jeszcze raz i pojawiają się liście mięty, okiennice z zielonym serduszkami, kłopoty z odczytaniem szyfrów zamkniętych w trawach pod oknem. Na szczęście na naszych schodach jest cicho, możemy rozpuścić włosy i dać wytchnienie udom. Możemy wszystko, ponieważ jesteśmy jak bogowie i nie ma bogów ponad nami. Dążymy do szczęśliwego zakończenia, będzie dziecko, nie będzie dziecka. Nasze księżniczki już się urodziły i leżą na stosach poduszek wypełnionych wełną najdelikatniejszych jagnięt ze stepów asfahanu. Niedopracowany poemat musimy na razie odłożyć na półkę. Poczekamy na hejnał z wieży mariackiej albo na inną, codzienną piosenkę, która opowiada o miłości i śmierci.

Zrywam zakazane owoce, są słodkie i dojrzałe. Płynie z nich sok lubieżny i mokry, na niebie widoczne są liczne znaki Apokalipsy i kilka spraw z zeszłego roku, których nie udało mi się załatwić. Święto całopalenia jakoś wyszło, ale inne, nie za bardzo. Wypijamy kielich goryczy, zagryzamy kiełbasą i ogórkiem kiszonym. Polska specjalność, podobnie jak patriotyczne uniesienia i chwała zwyciężonym. Soku jest coraz więcej, depczemy winne grona bosymi stopami, płynie po skórze i można go zlizywać jak miód albo cukrową watę. Zamieniamy wino w wodę i odwrotnie, jest coraz bardziej zabawnie. Pragniesz wydobyć się z tego zamętu, jak zwykle spokojna i uporządkowana, ale to ja idę ciemną doliną i niczego się nie lękam, ponieważ właśnie wydobyłem się z powodzi słów i mogę narzeczcie oddychać pełną piersią. Pełne piersi to dar, z którego należy nieustannie korzystać, podobnie jak ze świętego fallusa i dwojga ramion oplatających wiotką, łabędzią szyję. Tajemnica alegorii, karnawał szelestu roślin, karnawał, którego już nie rozumiemy. Masz jeszcze na sobie powitalny strój i w rękach naręcza kwiatów, a ja bezbronny nadal walczę z rajskimi ptakami, które chcą mnie zabić i nie wpuścić do twojego raj. Nie myślmy już o tym, jest kolejna noc, srebrne dyski rzucane niewidzialną ręką przelatują ponad nami. Jest pierwotnie, jak w dzień stworzenia; czasami liczysz na to, że nic się nie zacznie i nic nigdy nie skończy, liczysz do stu, do tysiąca, tak długo jak umiesz.

Chciałem opisać dotyk. W pewnym momencie wiedziałem nawet, jak to zrobić, ale teraz nie pamiętam. To miało być bardzo proste, naskórek, zbliżenie, końce palców, które przeczują coraz więcej. Musisz być bardziej sensualny, rozpisać wszystko na głosy, na echa, które odbijają się od siebie i płyną obok liter i coraz mniej znaczącego dźwięku. Potrzebne są obrazy, czuję ich obecność, ich ryzykowne znamiona i starożytnie herby. Muszą mnie przyjąć, nadać szlachectwo, zapewnić miejsce w pierwszym rzędzie widowni. Czekam na ich stan barbarzyństwa, na to co jest nieokreślone i giętkie, na pozorną łatwość patrzenia. Kocham stan obrazoburstwa, kiedy giną i zapadają się w nicość. Są na nich ślady moich linii papilarnych, puls skroni, napięte ścięgna. Złe dni są coraz bliżej. Ratuję się przed nimi dotykając twojej skóry, próbujemy wejść w ciebie coraz głębiej. Kiedyś mówiono o zatraceniu, obecnie nie używamy takich słów, obecnie nie używamy słów, dotyk ich nie potrzebuje. Nasza szczerłość jest w stanie wszystko przełamać. Rośnie odległość, nasze ręce zamierają w powietrzu wypełnionym pustką. W obrazach jest wiele ważnych treści, ale nie potrafię ich odczytać. Jestem wydany na żer niepewności. Motyle przelatują coraz bliżej. Kochasz ich cichy lot i pewną, szybką śmierć. Twój styl przepełniony jest ironią zapiętą na ostatni guzik. Ironia jest romantyczna, ty jesteś romantyczny, ty jesteś.

Ponownie słowa, ich waga przywiązana na przeźroczyściej linii, spętane jak ryby w sieci, leżą na dnie nieznanego morza i wiedzą, że w tej głębinie nic nie ulega zmianie, wszyscy są ślepi i przejęci odległością od powierzchni fal. Dzisiaj słońce wzeszło o... nie spaliśmy całą noc oczekując na wiosnę i na nowe dni. Wodne ptaki łowiły morskie glony, w gniazdach pojawiły się pisklęta. Nasze dzieci są coraz dalej, patrzymy, jak się oddalają w stronę zatopionych w przestrzeni miast, do których my już nie mamy dostępu. Nie rozdieramy z tego powodu szat, nie rwiemy włosów, wygładzamy nasze zmarszczki, ważny jest nowy podkład i odrobina różu na policzkach. Z tekstu o albatrosie prawie nic po latach nie pozostało. Tak jakby go nie było, ponieważ został przesłonięty kolejnymi dniami i upływem kolejnych wspomnień. Nadal dbam o rytm wewnętrzny zdania. Nie wiem, do czego jest mi to potrzebne. Rzucam je na wiatr, to takie piękne określenie, leci na zwiewnych nitkach, widzę, jak drga przy silniejszych podmuchach. Nasi posłańcy niedługo do nas powrócą, przebiegną pomiędzy domami, aby zobaczyć, jak albatros płynie po niebie. Jednak się pojawił, to dobrze, to świadczy o spistości słów i myśli, to dobrze świadczy o autorze.

Małe nienasycenie, niedostatek, nieporządek dopadają mnie nieustannie. Dalej sporo pęknięć szczelin, szram i braki w uzębieniu i nic nie jest jednolite, aż do bólu i zapomnienia. Nic nie jest naturalne, wdech, wydech, jeszcze raz, lubię rozlewne frazy, które budzą we mnie pragnienie doskonałości, później zwątpienie i wysyłanie listów, odpowiedzi na nie zadane pytania, brak odpowiedzi na zadane, świat nie spełnia moich oczekiwań, ja nie spełniam oczekiwań świata. Powinienem więcej pracować albo lepiej się wysypiać, otwieram oczy, jak zwykle po przebudzeniu strzępy materii niewidzialnej, sytuacje, które nigdy nie zaistniały, ludzie, których nie znałem. Skąd biorą się we mnie, nie pamiętam, a przecież musi być jakaś odpowiedź na to proste pytanie, na granice pytań. Pytania mają swoje granice, jak wszystko, na przykład jak święte obrazy i świeckie obrzędy, myślę równolegle, dobro, zło, przód, tył i mały zachwyty nad Naturą jak co dzień, nad człowiekiem, który brzmi dumnie, nad opisami przyrody, które czytam namiętnie i później nie mogę zasnąć, cała wrażliwość, cała jaskrawość prowadzą wprost do piekła, ale za to jakie wspaniałe perspektywy, ilu synów marnotrawnych i córek przedwcześnie zmarłych, nienasycenie, zastanówmy się nad nienasyceniem, nad zakrytymi kartami, których nie jesteśmy w stanie podnieść, aby wygrać tę rozgrywkę, nad poetami, którzy nagle przestali nimi być i teraz umierają żądni powrotu tej chwili szczególnej, błysku, śmierci.

Walczę z urojeniami, z myślą polityczną polską i kamuflażem zdarzeń. Coś przykrywa coś, coś udaje coś, coś leży na wierzchu grubą warstwą i nie chce pokazać tego, co jest pod spodem. Musimy się do tego dobrać, jestem wyższy i widzę dalej albo głębiej, ubieram czarny płaszcz ludzi niewidzialnych i próbuję ustalić fakty, dzień moich narodzin, moment zapłodnienia, niosę na barkach pełnię niewiedzy o tej chwili szczególnej i bohaterskiej. Pytasz mnie, dokąd idę, skąd przychodzimy i tak dalej. Ja wracam stamtąd i idę przed siebie, to musi wystarczyć, wracam urzeczony pierwszym słowem, brzmieniem deszczu uderzającego w blaszany dach. Zobaczymy się może kiedyś, mówisz, może w nieskończoności albo w pobliskim parku, musimy się tam spotkać jak dwie monady i wtedy wytłumaczysz mi sens tej opowieści do końca, a na razie *adieu*, do widzenia i powraca kamuflaż siatki maskującej nasze ciała, nawet to nie jest pewne, przecież to tylko bajka, opowieść dla grzecznych dzieci, jesteśmy opowieścią, to pocieszające, tylko opowieścią wyśmiewaną przez innych i trzeba będzie ich zabić, wiesz o tym, po wydobyciu z lampy, na dnie naszego morza dzieją się rzeczy straszne i bezgłośnie. Pod wodą jest tak wiele utopionych idei, jednodniowych bohaterów, fałszywego złota, ślepców błakających się pomiędzy skałami. Oni są najgorsi i z nimi przede wszystkim musimy walczyć.

Medytacje poranne przy goleniu, medytacje wieczorne na poduszce z białego puchu, moje oparcie w czasie i przestrzeni jest niezwykle kruche i zawodne. Nie wiem, gdzie jest granica tego oparcia, granica pewności, że jeszcze istnieję. Szukam tej granicy, staram się ją ustalić przy pomocy promieni gamma i beta oraz kilku roślin, które wyschły na moim oknie. Nie jest to łatwe, życie snem, te rzeczy, dym i rzenie koni. Ludzie nie wznoszą już budowli lecz je budują, po ulicy nie jadą wspaniałe rumaki, tylko stary koń stoi na placu, który niedługo zniknie, ponieważ ma tam powstać nowy hipermarket. Liczymy na więcej, niebiosa dają nam znaki, pada deszcz, skrzypią drzwi uchylone do drugiego pokoju. Widzę tam kolejną granicę, rosnące marginesy, obrzeża, które pochłaniają samo morze. Cel niczego nie uświęca, ramy przypominają tanie pasyjki, które można kupić na targu. Zagubiliśmy się, kochanie, w tym wszystkim i nie możemy się odnaleźć. Jesteśmy coraz bardziej kalecy i nie wykorzystujemy naszej szansy na istnienie pełne i wypełnione prawdziwą treścią. Streszczam się, idę do baru, tutaj przynajmniej są jakieś granice w miarę widoczne i możliwe do ustalenia. Idę tam przed moim czasem, on idzie za mną, jak zawsze chce mnie wyprzedzić, ale jest już stary i nie ma siły, aby sprostać moim krokom. Idziemy tak razem lekko pijani, nasze rany otwierają się o określonej godzinie, nasze stygmaty nie chcą się zagoić.

Śniłem seks na stercie książek. Spadały ze stołu na podłogę, osuwały się wzdłuż krawędzi nieheblowanych desek. Miałaś okulary w czarnych oprawkach. Myślałem o nich i o słownikach służących za twarde prześcieradła. Były najlepsze, później encyklopedie i światowa klasyka. Byliśmy współcześni i mówiliśmy o ostatnich bestsellerach, że poruszają ważne problemy naszych czasów i że być może znajdziemy do nich odpowiedni klucz interpretacyjny. Powiedziałaś: sprzączki przy kożuchu, raczej kwiat, poprawiłem, raczej kwiat i powinniśmy przestać, przerwać akt przerywany, ponieważ jesteśmy zdani na łaskę słów ze słowników i nieustannie opadamy z wysokości, na której jesteś, na której jesteśmy i coraz łatwiej jest rozplątać nogi i uda poprzez korytarze i schodzimy do nich aż do wyjścia, gdzie ogromne żółwie nadal śpią jak na Galapagos ze sobą i na sobie i nie wiemy, z którego snu są ludzie, a z którego zwierzęta i ta zasłona, przy której ścianie mamy stanąć i reflektory z kręgiem światła. Zgubiłaś z tego wszystkiego okulary, ogrody nieprawdy, bal, który się właśnie zaczyna i odlatujemy jak zawsze bez karty wstępu i panujemy nad sobą i nie będzie już dzieci, to dobrze, po co nam nowe dzieci, w tym śnie ich nie ma i w innych, ponieważ zostały gdzieś w przestrzeni międzyplanetarnej zagubione i nieobecne, jak w tej książce medycznej albo pod wielkim parasolem, który ktoś rozpiął nad nami i patrzy, czy książka jest otwarta na odpowiedniej stronie, tej dla ludzi opanowanych i przebudzonych o świcie.

Ta odrobina realizmu, szczypta sarkazmu, kosmogonie dla wytrwałych. Zgadzam się z tobą w pełni, przydałyby się nam dzisiaj, podobnie jak nowy glob lub kule nałożone na zbyt ostre ostrza. Początek uzgadniania stanowisk, echu jest wszystko jedno, pulsuje bez względu na obecność ludzi. Opowiadałaś o karawanie, która wyruszyła pewnego dnia o wschodzie słońca z rycerzami pustymi i wielbłędami wypełnionymi wodą. Byli pewni pomocnych źródeł, na czele jechał wódz piasków, ojciec nieba, przeciwnik gorącego wiatru dziękując za stały opór ziemi i za monotonne uderzenia kopyt o wyschnięte wydmy. Białe zawicia, parawan ukryty pod różą pustą w środku. Można nakreślić wiele przypadkowych dróg, szczęście powrotu, rysy ich twarzy. Miałeś nie przyznawać się do porażki. W twoich bagażach jest tak mało rzeczy, nie dorobiłeś się w czasach karnawału, a teraz kolejny post i pakujesz tylko kilka słów na wyjazd do odległych krain. Pod twoimi kopułami jest niewiele miejsca, ptaki pustyni utraciły już wiarę w przetrwanie i najpewniej zaginą bez wieści. Opowieść taka jak wiele innych, odległa, zamierająca, niespodziewana.

Owodzi świat tuż na murze garażu. Kiedy uda mi się go przeczytać, może ktoś i mnie wtedy przeczyta. Kiedy przytoczę cały świat... Na pewno będę wtedy zmęczony pracą godną owada. Zawsze tak zaczynasz, pierwsza osoba, później pozornie druga, trzecia, innych brak Twój ciasny horyzont zawężony przedwcześnie i zamykanie się w kręgu ironii bez straty choćby jednej litery. Dzwoni dzwonek, musimy iść do pracy, chociaż wiem, że boisz się pajaków i jak tu przejść obok muru. Nie odczytamy świata bez oczu zostawionych nocnym motylom. Potrzebna jest pomoc z tamtej strony, objęcia lepkich skrzydeł, uważny wzrok wbity w pajęczynę, światło przeszywające na wskroś, trochę jadu, krajobraz wytarty od częstego używania.

Nie chcę już niczego zmieniać. Czytam dawne teksty, nie rozumiem, nie pamiętam, to musiało się kiedyś wydarzyć, ale co to był za dzień, która godzina? To jest teraz bez znaczenia i nie wiem, co mogę z tego uratować, o czym opowiedzieć ludziom oczekującym na sen, bezsennym. Wiem na pewno, że już się nie obejmujemy tak często jak kiedyś, mówisz, kładziesz rękę na moim ramieniu, stajemy na palcach, nie chcesz być ciężarem, pragniesz pomóc w zrozumieniu opowieści, która nie należy do końca do mnie. Pomagamy sobie już tyle lat malując kolejne imitacje czasu. Nasze obrazy nie mają ram i zacierają się coraz bardziej. Zaczynam się spóźniać, nie przychodzę, oddaję się wątpliwościom. W tygodniu jest tak mało na nie czasu, musimy coś z tym zrobić, mieć go więcej dla siebie, musimy nabrać większego sensu i znaczenia niż go mamy, zaufać sobie od początku.

Jestem zmęczony, umierają ludzie, a ja jestem coraz bardziej zmęczony. Brak rozwoju, słyszę, brak rozwoju, kolejne niepowodzenia, jak tu siedzimy i rozmawiamy, nic z tego nie wynika i będę musiał komuś wytoczyć o to proces, dyskusja nad głośnymi wydarzeniami, w których nie bierzemy udziału, jesteśmy po stronie ciszy i sytuujemy się między wierszami. Wzruszenie nie pozwala nam mówić, omawiamy życiorysy znanych artystów i premiery, które odcisnęły się swoim piętnem na epoce, mamy prawo głosu i wyjścia na powierzchnię, poruszeni cudzą sztuką. Ostatnio płakałem słuchając muzyki z dawnych lat, która wbijała mi się podskórnie i głęboko i jak to jest możliwe w twoim wieku, jak to jest możliwe, kiedy wyczerpałeś już wszystkie duże litery i zostały ci same małe, zmęczenie zamyka wówczas usta, zamyka ważne fragmenty biografii, przemawia do ciebie. Buduje mosty pomiędzy tobą i światem zaniedbane, dziurawe i nie można dłużej tolerować tego stanu, weź się w garść, ogarnij, zbuduj kilka poręczy, zasyp dziury, nie pamiętaj już dłużej o możliwości upadku, kiedy tak stoisz wyprostowany, przytwierdzony do metalowego pręta na środku opuszczonej przez innych drogi.

Miało coś się wydarzyć, a tu ilustracje, obrazki, anteny na każdym dachu, szopki w słojach szklanych i metalowych. Czekamy na lepsze czasy, ostrzemy siekiery i trzeba podeprzeć ten jałowiec, najlepiej kijem od szczotki, który został z przeszłego lata i niestety nie stać nas na nieskończoność i przez to musimy siedzieć z odkrytymi głowami na słońcu, tak do mnie mówisz kochana i każesz mi kupić płyn na plamy na jego powierzchni i wspaniałe znużenie kiedy tak ponownie jesteśmy w domu, małe szczęście, czytanie nowych stron, które są lepsze od pozostałych jak zwykle i bawienie się muzyką sfer, która brzmi jak po potopie i dlaczego nie jesteś ambitny, mógłbyś być papieżem albo prezydentem i wyznaczać cele i kierunki, a tak, tylko ilustracje, anteny na dachach i nasze lustro z mgły znowu o coś niepotrzebnie nas prosi.

Nasz klimat jest coraz bardziej umiarkowany. Niedługo zasadzimy winne grona, osiągniemy stan doskonałej próżni. Pomiędzy pojawią się białe niedźwiedzie, nasze ulubione zwierzęta, ukryjemy je przez ludzkim wzrokiem, niech nie wiedzą na zachodzie, co się tutaj wyprawia i dlaczego tylu lirników przechadza się po gościńcach. Wszyscy mają zamknięte oczy i śpiewają patriotyczne pieśni, a ja, co będzie ze mną. Jestem taki odległy, niemodny, nie mam niczego na piersiach, na piersiach mam twoje piersi, ale to już nikomu nie wystarcza. Poruszają się rytmicznie, góra dół, wschód, zachód, gdzieś zgubiliśmy północ i południe, ciągle coś gubimy, ponieważ mylą się nam strony świata i tak rozległy jest klimat ironii, tak wiele jest bóstw, które chciałyby nam przeszkodzić, zakłócić ten akt stworzenia, a my tu w Europie środkowej uprawiamy miłość jak ogródek na wiosnę, wplątani w chruśniaki, w maliny i klimat nam ciągle nie służy do tego, aby być pięknymi kochankami, za zimno, za mokro, za daleko, panuje nam cały rok i nie mamy już sług ani panów, ponieważ przewyciężyliśmy konflikty dawne, a nowe dopiero się ujawniają stopniowo, jak kolejny, bezsensowny horyzont zdarzeń.

Szukałem punktu zaczepienia, punktu odniesienia, przez cały dzień. Może kwiaty na łące albo cięte, żonkile o pięknej nazwie bliskiej żonglerom i młodym żonom o łagodnych rękach. Ten punkt musi się mieścić w świecie pojęć, nie rzeczy, tuż obok nas, ponieważ i my stajemy się kolejnym pojęciem, nazwiskiem, czarną ramką w gazecie, na szczęście jeszcze nie teraz, jeszcze nie dzisiaj, jeszcze nie w tej godzinie. Czekasz na mnie pod domem, jesteśmy do domu uwiązani jak psy, wracamy do niego, wychodzimy, nie jest nam obojętny. Niepokój pokrywamy wzruszeniem albo odwrotnie, już sam nie wiem jaka jest kolejność uczuć, mówisz: trzecie przebaczenie, to nic nie znaczy, tyle określić nic nie znaczy, brzegi naszej rzeki oddalają się od siebie, chmury gasną, jesteśmy w tym całkiem dobrzy i powinniśmy jeszcze zostać tutaj, aby dać świadectwo miłości albo świadectwo zręcznych ruchów ćwiczonych przez lata jak w cyrku, na linie, nad przepaścią *salto mortale* i oklaski i tylko żal, że numer musi się skończyć i że nic nie jest bez końca, nawet płamy na pościeli, nawet twoje rany dzieciaku, nie znasz mnie jeszcze, nie wiesz co potrafię za nieduże pieniądze. Opowiedz mi coś o sztuce, jesteś artystą do wynajęcia, domorośłym, upodlonym przez czas i kilka objawień na ulicy, w kącie za bramą zarzyganą jak zwykle. Tam jest najwięcej żonglerów, klaunów, domokrażców i nie rań mnie więcej, wiesz, że jesteś trochę szalony, takich lubię najbardziej. Musisz dotknąć mojej łasiczki przed występem i pamiętaj o nowym tle tego obrazu, o damach, których już nie ma, a ja jestem i tak naprawdę nikt nie może mnie zranić, nawet żółte kwiaty, nawet ty w twoim nieustannym strumieniu słów po kolana po szyję, do zatopienia na samym dnie tego wiru, w który wpadliśmy i tak jest dobrze, dzięki niemu widzimy kolejny akt schodzący po schodach, kolejną burzę, która nie pozwala nam ani zasnąć, ani się obudzić.

Staram się coś nazwać, kogoś nazwać, kogoś wyzwąć na pojedynek. Jemy banany, czekamy na wczasy pod gruszą, nasza skóra staje się coraz bardziej przezroczysta. W ciągu dnia wiedziałem, jak mam o tym opowiadać, teraz jest noc, czas zapomnienia, pijemy wino, zagryzamy wargi, słowa nie chcą płynąć same, pozostają na uboczu, nie przyznają się do winy. Muszę je sobie notować, wtedy będą bardziej dojrzałe i pełne. Tak powstaje doskonała próżnia, w którą wpadam i w której staram się sobie przypomnieć niektóre strofy mistrzów. One ratują mnie przed szaleństwem, wiem o tym, ale co jakiś czas powinienem o tym sam sobie przypominać. Będziemy bronić naszych snów, mówisz, nie damy sobie ich wydrzeć, ale co to ostatecznie znaczy, czy towarzyszy temu jakiś honorowy kodeks albo zasady jak w grze w szklane paciorki. Musimy zdążyć na ostatni tramwaj w mieście, w którym jest coraz mniej tramwajów, musimy zdążyć i przekroczyć barierę dźwięku. Obchodzimy najnowsze święto, jesz banana, uprawiasz sztukę erotyczną, maczasz go w bitej śmietanie i zjadamy go wspólnie jak para kanibali. Czy to możliwe w katolickim kraju, pytasz, a co ze skórką, czy nie jest nadmiernie obrazoburcza? Można się na niej pośliznąć jak na starych filmach. Ślizga się na łyżwach, nie na filmach, bądźmy precyzyjni, bądź precyzyjny i włóż mi, to co masz mi włożyć. Tak uratujemy się przed pustką, będziemy bezpieczni, zabezpieczeni i przetrwamy do jutra rana, do rany kobiecej, niepokojąco nie-nazwanej.

Ponownie tramwaj, jakaś obsesja. Powinienem dostać medal od tramwajarzy, od przesuujących zwrotnice i być może od stowarzyszenia elektryków. Powinienem mieć dużo medali i trzymać je w szufladzie jak futerały po skrzypcach i kilka worków z ciemnymi okularami. Zapadam się w te futerały, walczę o haust powietrza, nic nie dzieje się przypadkowo. Masz już dosyć tego miasta, szyny nam nie przeszkodzą, pojedźmy gdzieś, zobaczmy innych ludzi. Ci już nam nie wystarczą, ale nie mamy gwarancji, że z tamtymi będzie nam lepiej i łatwiej. Nie mamy w ogóle żadnej gwarancji, oprócz gwoźdźcia na płaszcz i przestrzelonej dłoni. Udajemy kalekę i ustępują nam miejsca pod oknem. To dobre schronienie od wiatru i burz dziejowych, nasz schron, nasza spirala wzrostu. Szyny biegną i biegną, miasto masa maszyna nigdy się nie kończy. Ruch jest wszystkim a cel niczym. Najważniejsza jak zwykle jest zabawa i drzwi otwarte na oścież.

Na powierzchni rzeczy morska piana, opalizujące kawałki światła. Chodząc po mieście od-
czuwam zmęczenie, coraz trudniej jest mi przebijać się przez powietrze, to kwestia wieku i gęstości
powietrza. Na niebie część księżycy widoczna już za dnia. Urodzeni na księżycu mają wąskie biodra
i niespokojne usta. Nie wiem, skąd przychodzą mi takie pomysły, nigdy nie byłem na księżycu. Kroki
obok nas, teraz zapis tych kroków na piasku. Kupiliśmy nowe buty, które być może jeszcze nie znają
naszych dróg. Muszą nauczyć się ich na pamięć, podobnie jak przypomnieć sobie dawne czasy, kiedy
to słyszałem przez okno wołanie mojej matki, że już czas na obiad i trzeba umyć ręce. Pamięć i jej
dekoracje, oddechy pamięci. Byliśmy łaski pełni i niewinni jak czarodzieje. Później świat oszalał
i osiągnął pełnię zupełnie niepostrzeżenie. Mam gdzieś nagrany ten głos, który i bez tego pamiętam.
Podobnie jak otwieranie w nocy drzwi i niespokojny sen nad ranem. Znosi się na deszcz, jak wczoro-
raj i jak jutro, myślę o deszczu i wiem, że tym razem nie zostaniemy zanurzeni sobą.

Wykonujemy niezmiennie podobne gesty, zacieramy ręce na murze. Tak niczego nie osiągniemy, wiesz o tym dobrze wspinając się na palce. Pot odmierza kolejne godziny i dlatego każde następne zdanie jest coraz trudniejsze. Siedzę na blaszanym dachu rozgrzanym do białości, tutaj jest moje miejsce, ponieważ na tym dachu nic nie jest zwyczajne. Jestem coraz bardziej samotny, przeprowiam się przez kolejne morza białe i czerwone, mam dosyć patriotów przyczepionych do prapolskich sutków. Siedzę na dnie cywilizacji i wydałam odpowiednią ilość gówna, a powinienem różdżką uzdrawiać chorych i wskrzeszać umarłych. Na mojej powiece zakwitają przecież źródła życia i bije serce gwiazdy. Musisz w to uwierzyć kochanie, musisz być cała w bieli i niepokalanie poczęta. Wtedy nikt nas nie poniży i nie zabije, nasz mur urośnie do nieba, a my na jego szczycie osiągniemy nareszcie spokój. Może ktoś nas wtedy odwiedzi, pogada o dawnych czasach, uleczy nasze rany.

Muzyka przychodzi i odchodzi, jest w nas nawet podczas zimnej ulewy, pod wiatr wiejący w oczy, jest jak syrena tańcząca na kropli... Niedziela na porządki z płytami i ostatnimi obrazami opartymi o ściany. Oglądamy je jak stare dzieje i nikt do nas już nie pisze, nikt nie chce z nami rozmawiać, za to czytamy o włoskich miastach i o ucieczce Romea z Werony do nikąd. Właściwie powinniśmy zmienić firanki, kiedy wiosna i później wszystkie zasłony, które oddzielają nas od rzeczywistości. Za nimi jest prawdziwy świat uludy i szale rozpostarte na łące, tam można spać ze światła wprost na podłogę zawiniętą na włosku jak na napiętej linie i przychodzi się z własnymi stolikami do gry w karty albo w kości, z których tryska zdrowie i energia graczy. Delikatny wizerunek zaświetów może się przydać podczas ostatecznej wędrówki, mówisz, na pewno się nam przyda, podobnie jak kielichy z winem ustawione wzdłuż cienia ulicy i niepokój spowodowany drżeniem dłoni i czy tam czasami jest noc czy tylko dzień pod wieczną lampą, jak w więzieniu, którego się nie zauważa. Serenada na cztery ręce, musi być noc, oni też czasem śpią i śnią o czystych tonach, o instrumentach pozostawionych na ziemi, o kompozycjach przerwanych w pół nuty, o zdmuchniętym płomieniu świecy i o tym wszystkim co zostało ukartowane przez Boga jeszcze przed narodzinami wiatru.

Mam pałac na sprzedaż. Nie jest drogi i można go kupić od zaraz. Nie należy do mnie, nic nie należy do mnie, prawdziwi poeci nie gromadzą rzeczy, zapisują ich nazwy na liściach drzew albo w kominie. Piszą zielonymi igłami, które spadły ze świerków, szczególnie w zimie ich twórczość bywa obfita. Obok nich siedzą rozpustne lalki z rozchylonymi udami, które udają, że nic tam nie ma i że można się nimi bawić bezkarnie. Jesteśmy wtedy nadmiernie ożywieni i drapieżni, poszukując wewnętrznych ząbków i tuneli bez granic w miękkim mięsie. Pod ich spódniczkami najłatwiej jest ukryć prawdę stworzenia, moją małą herezję, której jestem jedynym wyznawcą. Czytajcie o nas w gazetach codziennych, proszę, nie zaniedbujcie lektury, a wtedy pałac będzie wasz, podobnie jak rydwan faraonów, lubieżne usta i głębokie gardło. Nasza literatura jest taka aseksualna, w pałacu będzie można robić wszystko, czego zapragniecie, papier zniesie wszystko, podobnie jak lalki, którym co najwyżej wypadnie coś z brzuszka i z buzi, po to są, tam są, mieszkają w czworokątnym pokoju z widokiem, w waszych główkach i rączkach drodzy kupujący.

Na szczęście nie muszę nikogo udawać, żadnej postaci, żadnego bohatera. Muszę udawać samego siebie, a to nie jest specjalnie trudne. Moje imię zgubione na liściach, moje podziemne nurty i strumienie krwi czystej płynące, moje style wysokie i niskie jednocześnie. Chcąc dotrzeć do siebie, nie przebieramy w środkach, ostrzemy ostrza metafor, zasłaniamy oczy porównaniami, wszystkie chwytły są dozwolone, ponieważ dalszy ciąg jest wielką niewiadomą. Być może nie będzie dalszego ciągu, będzie jedynie cena umowności i szczęście za wszelką cenę. Coś będzie, coś musi się wydarzyć. Myślę o pustych pokoleniach utrwalonych na pewnym zdjęciu. Panie w długich sukniach, panowie w kapeluszach ze słomki. Patrzą uważnie w obiektyw, bawią się zatrzymaniem czasu. Są młodzi i za chwilę zanurzą się po kolana w ciepłym morzu. Nikogo nie udają, po prostu są zajęci słuchaniem bicia dzwonu albo poszumu morskich fal. Stają się powoli gipsowym odlewem, podobnie jak my zbyt wcześnie obudzeni, która to już jest godzina, pytasz, czy musimy wstawać, czy musimy się już położyć. My też jesteśmy na pokaz, spotykamy się z cieniami, pseudonimujemy ziemię, rozmawiamy o winie i karze.

Znowu deszcz, jego siwe łodygi. A miało być tak pięknie i dobrze. Pod nami płynie potok skamieniałych snów, nad nami moja poezja. Pies nie chce wychodzić na dwór, ponieważ jest psem tybetańskim, z krainy suchej i zimnej. Patrzymy na siebie, on podobny do lwa, ja – zodiakalny lew z kolejnego rozdania. Zostajemy w domu i porządkujemy rzeczy. Nigdy mi się to nie udaje, może dlatego, że nie mają one nadmiernej wartości. Na szybie ślady ptasie, które czekają aż przyjdzie słońce i je wysuszy. Demon obserwacji dopada mnie coraz częściej, przeszkadza w życiu, nie pozwala spokojnie zasnąć. Pies patrzy na mnie z wyrzutem, przecieramy się na świat, wyciskamy z siebie wszystkie soki jak ze starych owoców. Jesteśmy owocami czyjegoś pożądania albo najprawdopodobniej przypadku. Bóg jest wielki i Bóg tak chciał, mówię do niego, nie możemy przez to wymagać zbyt wiele. Osiągamy stan doskonałego porozumienia, nasze pazurki rosną po śmierci, czasami jemy sałatkę z mleczów i mokrej trawy. Nie możemy nie zauważyć, że niektóre chmury są ciężarne i niosą w sobie życiodajną wodę, podobnie jak zapomnieć o płaszczu przeciwdeszczowym i o naszych grzechach, z których nikt nas nie rozgrzeszy. Psy są bezgrzeszne i dlatego kocham je bardziej niż ludzi. Idziemy na mokrych łąpach, nasze ślady są coraz bardziej do siebie podobne. Nikt nas nie wypędził ani nie zranił, nie musimy już dłużej rozmawiać z Bogiem. On nie ma pieska ani żadnej rzeczy, która jego jest.

Pustka pamięci, nikt nie przychodzi i jesteśmy absolutnie sami. Nie lubię słowa „absolutnie”, ale niech tak zostanie, niech wszystko pozostanie tak jak było dotąd. Idą zmiany na lepsze, a my tu w kącie siedzimy na skrzynkach po piwie, jak w dawnym samolocie do Londynu i trzymamy przed sobą tablice ostrzegawcze. Nie mamy innych dokumentów ani przepustki do pokrzepiania serc. Nie dorobiliśmy się sławy i chwały. Na krzesła niedopałki, za nami syf podwórza i tarcza, na której położyliśmy się, aby dłużej już nie walczyć. Przypomina współczesną rzeźbę z utraconymi członkami herosów, pobożnisie i koczodany patrzą na ostatnie już resztki dawnej świetności i chcą zamienić nas w popiół. Pachną drzewa, tak rzadko piszę o zapachach, mój zmysł powonienia jest kaleki i odróżnia tylko zapach wody w gejzerach i woń bezsennego światła. Idziemy dalej w słowa i skojarzenia, tak jakbyśmy nie mogli się powstrzymać przed zdaniem ostatecznym i doskonałym. Króliki nabijane w talerzyk, stukot główek maku, gołąbki dziobiące ziarna śmierci. Mówisz o strumieniu świadomości, ja mówię o strumieniu nieświadomości. Oba te strumienie w końcu muszą się spotkać, przeciąć na jakiejś równinie i wtedy na ich dnie pojawi się na pewno kilka diamentów, zaranie zwycięstwa, istotnie wieczne.

Moja starość nie jest jeszcze taka stara. Lubimy się spotykać, obierać z łupiny orzechy, patrzeć za siebie i trochę w bok. To, co jest przed nami interesuje nas coraz mniej. Rzucamy monetą, podkładamy poduszki pod głowę, jesteśmy starsi od naszych marzeń, barwy są coraz bardziej wyblakłe, a wędrówka męczy przed dotarciem do celu. Najważniejsze, że nadal jesteśmy samodzielni i potrafimy ugotować sobie coś na obiad. Czasami trzeba przed nami chować zbyt ostre noże, zamykać szuflady, gasić za nami ogień. Początkowo myślałem o powolnym odcinaniu nas od przedmiotów, od zbyt szybkiej jazdy, o pocieszaniu grzesznych i chowaniu się przed umarłymi. Chwytamy się brzytwy na środku oceanu, rozłupujemy na części kolejne tratwy. Nie powinniśmy tego tutaj robić, kończą się nam zapasy i coraz mniej jest w nas wody pitnej. Nie można tak postępować, to musi się zemścić tuż przed przepłynięciem naszego morza. Najgorsze jest jednak to, że stale ktoś się nam uważnie przygląda i składa na nas skargi do samego siebie.

W literaturze zwycięża życie. To straszne, myślę, to straszne. Wolę słuchać hejnału z wieży mariackiej, który jest irrealny i piękny, wolę opowiadać o kantyczkach i gwiazdach, o obrzędach znanych od dzisiaj tylko nam. Nie pasuję do nikogo, nie pasujemy do nikogo, tylko do siebie, jak odlane wspólnie formy, jak miodna pszczoła i pszczeli miód. Mówisz o tym, że wszystko niedługo będzie w proszku, jedzenie, sztuka, życie liofilizowane. Wystarczy wrzucić do wody i będzie gotowe do ostatecznego użytku. Najpiękniejsze będą sproszkowane ptaki, których lot zakreśli na niebie szarą smugę. Czytam coraz mniej, przyłączam się do ludu bożego, który nie czyta nic, ponieważ istnieje w świecie snów i urojeń. Na mojej wyspie jest coraz mniej ludzi, niewiele stąd słyszeć i niewiele widać, przede wszystkim, to ja jestem niewidoczny. Obok przepływają wielkie statki, stalowe wieloryby, z których nowi rybacy zrzucają pospiesznie elektroniczne sieci. Panuje coraz większa susza, efekt dzieciątka i sucharów z wojskowych zapasów. Najprawdopodobniej będę musiał jednak zapłacić za światło i zbudować drogę. Gdzieś ponad nami przelatują dwie śmierci, nie można się od nich uwolnić nawet w arkadii, nawet chowając się w starych dekoracjach.

Dzisiaj czekaliśmy na jakąś odmianę losu, ale los nie chciał się odmienić. Co najwyżej rozmieniał się na drobne, czynił nam niestosowne uwagi, nie zwracał uwagi na dramaty osobiste. Tak to już z nim jest, zdecydowany krok, stalowe spojrzenie przeźroczytych oczu, trochę bezwładu i prób przeczekania do jutra. Jestem za mało stanowczy, zbyt długo śpię, a moje sny są niezbyt poważne i nieustannie obracają się wokół dalekich podróży do nibylandii. Nawet mój dotyk nie jest prawdziwy i zatrzymuje się tuż przed twoim ciałem, a co dopiero wzrok albo słuch. W ten sposób nie osiąga się sukcesów, gdziekolwiek pójdę i o każdej dobie będę... Jesteśmy skazani na siebie, na pozorną wolność wyboru, na drugie ja. Żyjemy tak, aby nikt nie wyprzedzał nikogo i wszyscy byli zadowoleni. To błąd, powinniśmy coś zmienić, coś zrozumieć na nowo. Mówisz: potrzebna jest nam szczypta ironii, kawałek brzozy kory, bazy zerwane z wierzy płaczącej, cokolwiek. Szamoczymy się w tej pułapce, patrzymy na odległe obłoki, na zbliżającą się do nas cudzą historię. Wiem, że ona może nam zagrozić, obcy ludzie, obca religia, a może jest tak, że ona przeszła już obok nas niezauważona, a my z kulą ziemską u nogi i z gęsimi piórami próbujemy ją zapisać na ostatnim, słonecznym liściu. Jesteśmy pisarzami i nie zmienimy swojego losu, musimy wytrwać do końca, musimy przyciągnąć naszą ziemię do ust, poczuć jej smak i zapach, dopóki inni jeszcze jej nie zdeptali, nie wysadzili, jak z taniego pociągu na pusty peron.

Rozmawiamy o stylu podniosłym, o antycznych tragediach. Nasza tragifarsa zbliża się bowiem do finału, w którym nie pojawimy się już na scenie. Zostaniemy zatrzymani za kulisami, złożymy broń halabardnika, przytulimy się do drewnianej pantery, którą ktoś zostawił tam niebacznie. Będziemy bardzo ostrożni, tam tak łatwo jest się zgubić, zaszkodzić sobie na całą pieprzoną wieczność. Moja Eurydyka będzie ze mną, będziemy razem milczeć o poezji, a obok wierny pies i kilka motyli. Później zobaczymy nasze zdjęcia na wielkim ekranie, stare odbitki są takie nieczytelne, ale dzięki nim utrzymamy kontakt ze światem i tymi, których już nie ma i których już nigdy nie będzie. Ten balans pomiędzy czasami wyda się nam bardzo interesujący, w ogóle wszystko stanie się bardziej interesujące, owoce i ich łupiny, twoje odsłonięte z czoła włosy, kontynenty, które nagle ponownie spotkają się ze sobą. Na szczęście nie spadnie śnieg, śniegi padają gdzie indziej, porozmawiamy o królownie na ziarnku grochu i o tym dlaczego nie napisaliśmy żadnego kryminału. W tym łagodnym powietrzu odzyskamy siły witalne, a nasze członki będą stąd aż do nieba. Dodamy sobie odwagi i nie damy się zmyć do podziemnej rzeki deszczom ostatecznym, już nigdy.

Przekroczyłem połowę wymyślonych tekstów, jak Rubikon. Patrę na nie chłodnym okiem podobnym do filmu sprzed lat. Zastaniam ziemię jedną dłonią, potem drugą, widzę cienie tańczące na wietrze albo coś równie ulotnego. Jest wieczór, a piszę to wczesnym rankiem. W literaturze wszystko może się wydarzyć, ona jest wieczna i nieokiełznana, jest moją przewodniczką i widzem na samotnym koncercie. Nie mam powodu, aby jej nie wierzyć, nie jest święta, ale która kobieta jest święta. Za to jest czysta i niepokalanie poczęta, jej intencje są czyste, przynajmniej tyle. Przeżyliśmy razem okresy świetności i upadku, to znaczy ona przeżywała okresy świetności, a ja tylko obojętności. Tak widocznie musiało być, ale tyle jest jeszcze na szczęście przed nami. My świadkowie wieku zmieniamy niekiedy nazwiska, ale sporo z naszego wnętrza pozostaje i każdy może zobaczyć odpowiednią dozę onanizmu i sztuki dziejącej się na wyciągnięcie ręki. Należy się nam odpoczynek. Zawsze chciałem być rentierem na Wyspach Zielonego Przylądka lub na Karaibach. Tam bym żył życiem tubylców i wielbił twoje piersi odkrywane o świcie. Ty ssalabyś moje orzechy i ich ciepły sok zbieralibyśmy do kokosowych, cienistych skorup. Lubię takie obrazy, są piękne i kiczowate, są jak odległe światła wielkiego miasta. Nasze umowne gry, nasze zaułki tuż obok głównych ulic. I odrobina naszego ciała z małym człowiczkiem w środku, homunkulusem, początkiem kolejnego pytania.

Zbieram pozostawione przez kogoś słowa. Nikt nie chce się do mnie przyłączyć. Jestem ranny, z uśmiechem na ustach przynoszę ciszę i trochę białego piasku. Słowa te były używane wielokrotnie, sam ich używałem stosując kilka schematów na granicy możliwości zrozumienia. Przenikamy przez nie, widzimy jednocześnie ich kolejne brzegi, zasklepiamy prawdę, mówimy nieprawdę. W tym naszym tłumaczeniu jest już jakiś błąd. Pod oknem na parapecie leży pudełko zapalek, obok otwieracz do konserw i kilka talerzy. Zatrzymuję się nad nimi, wysuwam moje czułki, żeby rozpoznać wroga. On musi się ukrywać pod blatem od kuchni. Tak snuję opowieści, udaję szamana od zdań rozwiniętych i pełnych, gram liczne role, wskrzeszam talizmany i czynię tajemne znaki na ścianie. Nasze stare pantofle wyrzucam do śmieci aby było zwyczajnie i realistycznie. Tkwi w tym jakiś kolejny błąd, którego nie umiem wytłumaczyć. Wszędzie są jakieś błędy, w genach, w suchym drewnie, w przeczuciu wysokiego stylu. Błędy się nam już opatrzyły i nie wiemy, jak może wyglądać ich brak albo przynajmniej ich mniejsze stado. Mylimy się co do przyczyn i skutków, co do siebie, co do słów pozbieranych jak jagody na leśnej łące. Pamiętam jak zbierałem je wiele lat temu i to dzisiaj musi mi w zupełności wystarczyć.

Podglądam lunatyków, ich niepewny krok, wyciągnięte przed siebie ręce. Jest ich u nas kilku. Chodzą po dachach, zaczepiają marcowe koty, lubią cukierki i małe dzieci. W ich obecności w przes-
trzeni jest coś mistycznego. Nakarmiony lunatyk chętnie zwraca pokarm, w zawieszeniu i nie-
pewności łatwiej jest o kontakty intymne. Niekiedy mają w dłoniach kawałki sukni, którą zdjęli
z martwej kochanki. Suknia świeci w nocy jarzeniowym światłem, potrafi sama zniknąć pod ziemią.
Przeglądamy się razem w krzywym zwierciadle, ja i oni, oni i ja, na przemian. Nasze twarze wyma-
gają pozłoty, trzeba je też odkurzyć specjalną miotłą ze strusich piór. Potrafią wspiąć się na
chmury po jedwabnych nitkach, odróżnić gotyk od baroku i zobaczyć, że w niebie jest ciągle bez
zmian. Jeszcze dwie łyżeczki szaleństwa, kilka działek i zamienimy się rolami. Staniemy na nie-
pewnej krawędzi dachu, oni nie mogą się obudzić, ja nie powinienem zasnąć. Spotkamy się gdzieś po
środku patrząc sobie w oczy. Ich oczy są uśpione, moje są niebieskie. Nie mam znaków szcze-
gólnych, jestem spokojny o przyszłość i o kwiatów polnych zakwitanie.

Chciałem dzisiaj odpocząć, ludzie chcą odpocząć na różne sposoby. Kręcimy się na karuzeli, papuga wyciąga fanty, pierścionki zaręczynowe i listy z podróży. Pamiętam, jak bawiliśmy się w flirt towarzyski albo coś podobnego, bez wiary i z wiarą, że tym razem uda się nam pokonać wszystkie choroby i ból świata, który nas otacza. Miały nam w tym pomóc obrazy, na których siłacze i tancerki tańczyli na ogromnej piłce z okresu różowego. Nasze różowe okresy ukrywane przed wzrokiem obcych, nasza krew poranna i ciepła, ciężka od spojrzeń. Na stoliku kilka kryształów, dwa zachody słońca, siedem róż za każdy dzień miłości. Ukłułaś się w palec, mamy niewprawne ręce pokaleczone o zabawki od początku zabawy.

Jak zwykle chciałem ci opowiedzieć miasto, ulice zjeżdżające w dół stromymi zakrętami, nasza jest noc i oprócz niej nie mamy nic. Chciałem opowiedzieć o tym, jak byłem kiedyś na nieznannej gwiazdzie na tajemniczym balu w masce i z wachlarzem uczynionym z promieni. Nie chciałaś mi uwierzyć, może dlatego, że wtedy jeszcze cię nie było, mówiłaś: zabierz mnie stąd, tutaj jest zimno i przestają chodzić zegary, jest zbyt daleko, abyśmy mogli zrozumieć miejsce i czas, w którym się znaleźliśmy. Ballada bezлюдna, nasz ulubiony wiersz zakopany w piasku. Mówiliśmy o mistyce ciał niebieskich i naszych, o przymkniętych powiekach i o motywie opuszczenia w sztuce. Wiedziałem, że wszystko co nas dotyczy i dotyka, przenika do naszego wnętrza przez zaciśnięte usta i zamknięte oczy. Jest przeźroczyste i trwałe jak diament, ma swoją cenę i nigdy się nie zawaha, aby nas nie skrzywdzić i nie dotknąć.

Jak zwykle jesteśmy w swoim żywiole, nie mamy czasu na błędy i na potknięcia, patrzymy na obrazy. Obrazy mówią, my milczymy, na szczęście dzisiaj nie wypływamy na nasze oceany, jest w miarę spokojnie i zacisznie, możemy głowę nieść wysoko i dumnie. Nikogo nie skrzywdziliśmy, a wielu udzieliliśmy pomocy, urodziliśmy się samotnie i umrzemy w samotności, urodziliśmy się płynąc na małej fali i ona nigdy nie wzrosła, nie wzburzyła nikogo ani nie zatopiła, ponieważ zaczęliśmy od pierwotnych ustaleń, ziemi, nieba, morza. Byliśmy w swoim żywiole bez wysiłku, oczekiwali na dobrą zmianę, na zamianę góry i dołu, dobra i zła. Szliśmy wzdłuż brzegu plaży. Przyływ wyrzucił na nią meduzę przypominającą przezroczystą miednicę. Nie był to widok przyjemny, raczej odrażający. Meduza mogła nas poparzyć, zaginąć w nieswoim świecie, oswoić się z przenikaniem do cudzego życia. Na szczęście przyszedł odpływ i wyczyścił wszystkie brudy. Jak zawsze proste rozwiązania są najlepsze, podobnie jak proste drogi do naszego ciała.

Uniesienie tuż przed letnim sezonem. Na drzwiach widoczne są białe tabliczki przypominające połamane spodki. W rękach mamy kwiaty, całe naręcza bzu i tulipanów, tyle ile człowiek może unieść w uniesieniu. Przyszliśmy tu za naszą dawną miłością, dziewczyną, która wyszła kiedyś na chwilę z naszego życia i nigdy już nie powróciła. Mieszkaliśmy tutaj na najwyższym piętrze, kochali się raz i drugi, tak, ten widok z okna coś musi nam przypominać. Na ścianie święte obrazy, które potrafią poruszać oczami, kiedy chodzimy po pokoju. Podejdźmy bliżej, może rozpoznają nasze dawne grzechy i zapłaczą prawdziwymi łzami. Pamiętam sufit z poplamioną sztukaterią. Tak się to musiało odbywać, raz na wozie, raz pod wozem. Stare budownictwo sprzyja miłości, można się w nim zagubić i nigdy nie odnaleźć, tyle tu klatek schodowych i zamkniętych schowków. Przeładowały nas wtedy nasze długi i zbyt wysokie o sobie mniemanie. Tak wyglądają wykopaliska przedmiotów, pokłady starych plakatów i wezwań do zapłaty za gaz i prąd. Przyszedłem wypełniony nami jak stary worek. Na jego dnie złoty zegar, na wierzchu sparciwały sznurek i kilka zaśniedziałych monet. To musiało tu się wydarzyć, w tym przejściu pomiędzy kuchnią i korytarzem. Wszystkie nasze dawne miejsca umarły, są za to inne, przejściowe, niedokładne i starte jak stare linoleum. Coraz więcej porównań wypełnia pustkę, coraz więcej.

Nie należy ulegać abstrakcji, nie należy nadmiernie jej przeżywać. Nie należy mieć przerwy w życiorysie, życiorysy powinny być wypełnione ciągłym potokiem czasu przypuszczającego. Wracam późno do domu, wszystkie parawany są już ustawione, chmury płyną po niebie, buty schowałem do szafy. Pamięć jest coraz słabsza i przysparza wiele problemów, na przykład z opowieścią o Narcyzie pochylonym nad strumieniem albo z pułapką na myszy, którą ktoś zostawił pod oknem. Wpadam skuszony jedzeniem, piszę listy do nieznanym mi osób z prośbą o pomoc w uwolnieniu z więzienia. Nie jestem skuteczny w moich działaniach. Obroża nadal uciska szyję, dziewczyna uczepiona do ramienia nie chce odejść, przypomina posąg gotowej na wszystko miłości. Tak trwamy pośród echa naszych kroków odbitego od szyby, czekamy na zaćmienie księżyca i na kolejną miesiączkę, która uwolni nas od jakże deprymujących obaw. Jak zawsze rekwizytornia, skład ze starymi płytami, uczucia płytkie po kostki. Na szczęście, nikt nas się już nie spodziewa i nikt na nas nie czeka, na szczęście.

Wiatr we włosach unosi nas ku górze. Taki pomysł na małe opowiadanie, nasze życie i te sprawy, jak zawsze. Idziemy przez miasto śmiało na wprost, później na prawo, proszę iść tamtędy, a dojdziecie państwo do celu. Pierwsze drzwi, następne, pragnę się stąd wydobyć, dojść do przedmieścia, zamknąć wszystkie klamki, ostrożnie, jakby były ze szkła. Przede mną wysokie progi i kolejne sprzysiężenie narodowych osłów. Muszę trafić sam, uderzyć w wielki dzwon, zaistnieć mniej rozpaczliwie niż dotychczas, dostrzec odległy cel i najwyższe stopnie wtajemniczenia. Trzeba stanąć mocno na nogach, mówisz, ocalić złoty środek. I nikt nie chce powiedzieć nam, czy istniejemy tak wskazani do końca, czy ratunek przyjdzie na czas i pozwoli nam przetrwać jeszcze jeden dzień, choćby do południa naszego czasu.

Jestem dzisiaj od rana pełen znaczeń i symboli, wylewają mi się ustami, mieszają z licznymi wydzielinami mojego ciała. Artysta współczesny ma do tego pełne prawo, nie musi kłamać ani potwierdzać nieprawdy. Musi trwać w nieskończonym stanie przysięgi, że to, co robi, dzieje się naprawdę i stanowi część rzeczywistości. Nie trzeba przekłuwać ponownie igły, nic już nie trzeba. Sprawy toczą się same, wybuchy poruszają pełnię, nocne naczynia pękają samoistnie, napisy na wodzie układają się w niespodziewane wzory, w mozaikę wszechświata i zużytej już materii. Jesteśmy wierni swym przeznaczeniom i dlatego układamy w drewnianych formach miękką glinę, lepimy nowego człowieka, patrzymy uważnie na spiętrzone odpady, które pozostały nieopatrznie po wiosnie. Nabieramy w płuca porcję czerwieni i czujemy, jak pęka skóra na dłoniach i jak nasze wawrzyny stają się nic nie znaczącym wiankiem. Musisz mnie przytulić, pogładzić po twarzy, znaczenia ulegną wtedy uproszczeniu, a symbole ulegną zatarciu. Wchodzimy w kolejne wcielenie, w sen przestrelony jak karta. O czymś zapomniałem i nie daje mi to spokoju, jakiś drobny fałsz, fałdy na prześcieradle, glorię twoich piersi.

Pracuję na swoich tekstach, pracuję na cudzych tekstach, pracuję. Pracuję na swoim życiu, pracuję na cudzym życiu, pracuję. Pomaga mi kilku suflerów, nie znam ich zbyt dobrze, na pewno nie są to jednostki wybitne. Niekiedy sprawiają mi ból i nie jest to ból istnienia. Jednak na pewno wybijają się ponad przeciętność, są porywczy i nieprzewidywalni. Znam na pamięć ich próby oszukania mnie, podpowiedzenia niewłaściwego słowa. Niestety jestem na nich skazany nawet wtedy, gdy słyszę frazę o muszli monologów, w której ktoś złożył garść soli albo o zestrzelonych nad ranem ptakach nocy. Proszę ich, aby przestali mówić do mnie w sposób niezrozumiały i chaotyczny. Upowszechniajmy poranną czystość, mycie zębów, a nie opowieści o świecących w ciemności dziobach lub o drzewach spętanych linami. Pojawi się wtedy nad nami tęcza albo pióro ognia wyśnione przez poetów, przypowieść o sile lub słabości, paw zamknięty w drewnianym słoju. Lubię na niego patrzeć przez nieprzeźroczyście ścianki naczynia. Wiem, że tam jest, rozpościera swój ogon, pije wodę ze słodkiego źródła, wynika z dawnego tekstu, w którym domagałem się upowszechnienia poezji wśród Europejczyków. Pod nim na planckach śpią drapieżcy, mają przerwę w codziennej drapieżności, drapią się po brzuchu, myślą o niebieskich migdałach i o parkowych ozdobach, które ułożone w szpalery pozwalają im przetrwać. Nie mam dla nich pożywienia, muszą sobie radzić sami, a ja nadal wśród słów chybionych, wśród chleba powszedniego naszego, którego Pan nie chce nam dać, ponieważ zapomniał o nas, a sam nigdy nie jadł do syta owoców żywota i śmierci.

Zobacz mnie, prosisz, zobacz mnie jeszcze raz na nowo, zobacz mnie, jestem jak pejzaż albo światłość świata i nikt inny nie może mi pomóc, ponieważ istnieję tylko w twoich oczach jak pamięć wydarzeń albo odległe miasto, miasto uległe, wolisz to określenie, ponieważ nic nie znaczy, podobnie jak nasza bezradność albo wejście w siebie tuż obok nas mimowolne dzięki sztuce kochania i głosom odpornym na chłód i porywy wiatru, tym bardziej że twoje ramiona potrafią rozświetlić słońce, policzyć obietnice i cień ulic, stworzyć na obłokach złote pałace, z których jest tylko jedno wyjście na naszą ziemię. Wzrok może milcząco panować nad nami, obojętnie w którą stronę go skierujemy, jest najwyższym ze zmysłów i nie potrafi nam ostatecznie pomóc ani nie chce o nas zapomnieć.

Tym razem nasz palimpsest nas zawiódł. Nie umiem go odtworzyć ani zamknąć. Leży przede mną i opowiada o pościgu za zwyrodniałym mordercą. Ta zbrodnia nic mnie nie obchodzi, to musiało być z gazet albo z telewizji, nieustraszeni policjanci skryli się za spraną do białości zasłoną, zapach mydła i łaju, ten obraz prześladował mnie widocznie wówczas i pozostał na jakiejś kartce odnalezionej po latach. Niczego nie wyrzucam, dom pełen tajemnic i morderców kryjących się w jego zakamarkach. Jest w tym sporo różnych odcieni, moralnych dylematów, niespodziewanych rozwiązań. Pościg trwa nadal i nie wiemy, jak się skończy, jaki będzie finał pogoni. Współczesność lubi sensacje, kobiety o dwóch głowach, mężczyzn z dwoma penisami. Jesteśmy skazani na dożywocie, ale na szczęście, jak na razie, ominęła nas kara ostateczna.

Staram się wszystko zrozumieć, pytasz, czy już wszystko rozumiem. Oczywiście, prawie wszystko, wiem, jak przeprowadzić się przez rzekę i co powinniśmy mieć przy sobie podczas tej podróży. Kiedyś było łatwiej, były święte panienki i święci ze straganów. Nasz bagaż mieści się pod skórą, jest niewidzialny jak krew albo pulsujące za horyzontem światła. Kolejne domy, kolejne pary butów i kilku piewców oryginalnych dzieł sztuki, którzy idą przed nami niepewni jutra i niezbadanych rejonów znajdujących się przed nimi. A ja starałem się jedynie zrozumieć połamany wiersz, słowa wydarte słowom, złote karety, które ukryły się za piecem. Zostałem zgaszony i już nie płonę podsycany wiatrem, za to rozumiem więcej i widzę dalej, za to... Coraz więcej rzeczy niedopowiedzianych, dotyku, który nie wyczuwa pulsu, startej skóry, głów zamienionych w bolesne obrzędy przez drugorzędnych szamanów. Moja przyboczna straż też się nie sprawdza, nie broni mnie, jest jak podręczna topiel, w której nie można się utopić. Moje średnie życie, moje wyżyny widzenia, moje lekkie szczytowanie, kiedy przychodzisz, którego nie ugasi nikt ani nic, nawet krytyka czystego rozumu.

Wszystko jest literaturą, literatura jest wszystkim, oprócz oczywiście siebie, nas, dzisiejszego dnia i jeszcze paru rzeczy. Wydobywamy literaturę z niczego, z kamienia na kamieniu, z luźnych sformułowań, a tak naprawdę ona nas nie widzi, nie potrzebuje, radzi sobie samotna i dumna, nasycona laureatami, krytykami, tekstami przeżuwanymi powoli i dostojnie, a później wydalanymi sprawnie do rozlicznych wydań zbiorowych, antologii i autorskich wyborów. Co ty wybrałbyś dla potomności, jaki kawałek twojego ciała byłby przydatny i możliwy do w miarę szybkiego pochłonięcia przez molocho przyszłości. Na szczęście nie muszę o tym myśleć, dzisiaj myślę o wiosnie rozpisanej na zielone strony świata, o psie, który szczeka na dole i chce się bawić jak zwykle o tej porze, o tym, że dobrze jest posadzić ziarno na kamieniu, które i tak nie wszędzie i o zakurzonych lasach obmywanych teraz przez deszcz kolejnej wiosennej burzy. Nic nie mam i niczego już nie pragnę, może oprócz bardziej intensywnych barw zamkniętych w moich słowach, harmonii gwiazd i pierścienia z bursztynem spełniającego nieistniejące życzenia. O świcie jest najjaśniej, budzę się niecierpliwie i czekam aż zaczną śpiewać pierwsze ptaki. Rysuję kilka tajemniczych znaków na wewnętrznej stronie twoich ud. Będę je kiedyś musiał odczytać i przesłać do tygodnika dla kobiet, który płaci ze wszystkich najlepiej. Moja bezsenność mija razem z kolejnym porankiem. Pierścionek zaczyna działać, literatura pogrąża się w milczeniu.

Ktoś bliski umarł ostatnio, umarł też ktoś daleki, nie umierają ci, co są po środku, w odpowiedzi ode mnie odległości. Może to i lepiej dla nich i dla mnie, nie muszę się o nich martwić ani ich pamiętać, są bezimienni i nie wiem, czy powinienem do nich podejść i czy to wszystko ma jakiś sens ostateczny. Na kolację była święta ryba z puszki, ludzie mają teraz ryby na maskach samochodów, ludzie chodzą w gotowych maskach, które można tanio dostać w sklepie niedaleko. Staram się, jak widzisz, zachować pewną logikę moich wypowiedzi, strzelba powinna wystrzelić, ostatnie zdanie zamknąć definitywnie pierwsze. Nie wiem, po co to robię, być może działa wrodzony gen uporządkowania chaosu, albo pamięć o formie zamkniętej i doskonałej. Najłatwiej jest poradzić sobie z urojeniami, ze złotym wężem, który mnie niekiedy atakuje albo z grą w szklane paciorki. Zdejmujemy ze ścian stare obrazy, trzeba je przetrzeć z kurzu, uratować przed zapomnieniem. Tu byliśmy na wycieczce w górach, te deski pomogły nam przejść suchą nogą ponad strumieniami. Było wspaniale, nikt nie umarł i nikt się nie urodził. To czyńcie na moją pamiątkę.

Po moście zbudowanym z okazji nowego tysiąclecia biegną ludzie ubrani w niebieskie kombinезony i żółte czapki. Przyda mi się łyk realizmu i trochę spokoju. Realizm jest formą onanizmu, patrzysz i masz, działasz i uzyskujesz odpowiedzi, wraz z nim wzrasta temperatura dyskusji, kręcą się tryby maszyn i coraz szybciej mielą młyny śmierci. Wsypujemy piasek w tryby, zwalniamy obroty. Nasz świat jest inny, bardziej barwny, z odpryskami farby na masce, czuły i nieprzewidywalny. Nie biegamy po mostach i nie mamy na sobie niebieskich kostiumów. Jesteśmy nadzy, potrzebujemy zrozumienia i odrobiny miłości. Niestety, nadal nie wiadomo, kim jesteśmy, dlaczego trzymamy w rękach narzędzia zagłady, a mechanizmy naszego działania nie są do końca jasne. Być może ukrywamy się w tajnych bibliotekach, pośród stert papieru wymyślając niestworzone historie i bawiąc się swoim ptaszkiem. Być może nasze szaleństwo się pogłębia i nigdy już nie powrócimy na powierzchnię zdarzeń i rzeczy. Ogarniają nas sensacyjne dreszcze, gorączka zawieszona na cienkiej nitce, przez nas zachwianiu ulega porządek świata. Nie można jednak stąd wysnuwać daleko idących wniosków, jesteśmy przecież tutaj zupełnie przypadkowo, nasze lektury są też przypadkowe, nasze spostrzeżenia są niezbyt dokładne i zwijają się w kłębek jak nowonarodzone szczeniaki. Prosimy o ulgowe bilety, które na pewno nam się od dawna należą. Poprawiamy fryzury i obserwujemy biegaczy, którzy oddalają się od nas coraz szybciej.

W niedzielę myślę o Atlantydzie, jestem usposobiony melancholijnie, a moje serce jest bardziej rytmiczne niż w dni powszednie. Niedawno wróciliśmy z dalekiej podróży do krainy Atlantów. Jest tam wiele świątyń i świąt broniących nas przed grzechem powszechnym. Nasz zachwyt wypełnił tamtejsze ruiny, nadstawialiśmy też w odpowiednim momencie drugi policzek. Trwało popołudnie fauna, a nasze oczy pozostawały zamknięte i pełne zachwytu. Jest kilka przyczyn rytmu, uderzenie w ciało wewnętrzne, krople rosy na trawie, drzewa, które nigdy nie umierają. Słyszę szelest czasu, pył słów układających się w kolejne litery. Trzecia noc i trzeci dzień trwają nadal. Pachnie bez, poruszany przez promień światła. Objawia się czysta poezja, rytuały nabrzmiewają spóźnioną krwią. To tylko opis wydobyty z dawnych źródeł, zburzonych bez użycia siły. Natura ma swoje sposoby i bawi się nami również w dzień świąty.

Jest tyle nie zamkniętych spraw i rzeczy, których nigdy nie będziemy mieli. Widzę spadające gwiazdy i fragmenty księżyca, jestem ponad nimi, przeważnie jestem ponad to, ale co oznacza „to”? Opowiadasz mi o wybuchu wulkanu na odległym oceanie. Tsunami najprawdopodobniej nas nie dosięgnie, jesteśmy przez to bardziej realni niż zwykle. Pracuję nad osiągnięciem własnej formy literackiej, jestem artystą z dalekiej krainy, wywodzę się z nieskończoności, a dążę do zamkniętych pokoi, w których toczą się wasze sprawy i dzieją zdarzenia niezwykle zwyczajne. Na szyi mam łańcuszek spleciony przez fale z ognia i wody. To jest mój talizman, moje słońce, które krąży dłużej od cienia rzucanego na ścianę. Idę wzdłuż brzegu, poszukując muszli ruchomego święta. Poszukuję świętości i niczego mi nie potrzeba oprócz upadłych gwiazd i upadłych kobiet. Są takie piękne, niosą w sobie czarne światło i jasność ciemności. Gdzieś musiałem to przeczytać, ale co to jest „to”?

Kręgi na wodzie nie powracają. Może to jakiś znak albo przestroga. Również magia imienia nie działa, a pasjanse najwyraźniej nie wychodzą. Pewnie nadeszła zła godzina i coraz trudniej jest znaleźć wyjście z tej sytuacji. Linie narysowane na kartce nie chcą przepuścić płaskich ludzi, tak jakby moja nowa geometria nie uwzględniała czwartego wymiaru. Przewiduję, co będzie jutro, staram się przewidzieć wszelkie zagrożenia i niepokojące objawy. Nie potrafię przewidzieć siebie, nas, naszych regularnych kształtów i dziurawej podeszwy, która tańczy samotnie walca na parkiecie. Znowu coś przeczytałem po latach, kredowe koło toczy się bezszelestnie. Może coś o aniele zagłady i o niedźwiedziu, który zamieszkał w kościele. Idzie noc, pora na zawirowania obłoków i wodne czary. Na naszych jeziorach coraz więcej jest zmarszczek. Skupione, odpowiedzialne, nie chcą się zatrzeć ani zatrzymać w tym samym miejscu. Nie chcą wykreślić z kolejnej przestrzeni, niespokojnej, pozornie zrównoważonej.

Opowieści o molochu, który pożera dzieci. Odpowiednio krwawe i monotonne jak kultura popularna. Siedzę w wieży z kości słoniowej, z której niewiele widać. Tylko kości i wieża, która musi mi wystarczyć w tym wcieleniu. Może w następnym wyjdę stąd i zajmę się prawdziwym życiem. Podniosę zgniecione źdźbła trawy, zobaczę lusterka, które zaszyły niespodziewanie mgłą. Nie potrafię poruszyć tego nienasyconego kolosa. Życie olbrzymia jest inne niż mikrobów albo niektórych poetów. Podlega trwaniu, czeka na bałwochwalców, pamięta, że dzieci składane w ofierze urodziły się przed czasem. My też urodziliśmy się przed czasem, a kołysanki, które nam śpiewano były fałszywe. Niedawno skończyła się największa z wojen, której oddech czuliśmy nieustannie na karku. Chleby porastały nocą, pod stopami pojawiały się kolejne przepaście. Przez to nasza mowa jest ciemna jak bazalt i krucha jak lód. Inaczej nie można jej nazwać, ona nie może inaczej nazywać. Przypomina padlinę, która błyszczy w ciemnościach. Stara się ożyć nucąc kolejne kołysanki, nie potrzebuje niczych darów ani kolejnych ofiar. Jest sama dla siebie i sama w sobie. Nie lubi filozofii.

Jestem zmęczony, słucham melodii zroszonych nami. Lubię to określenie, jest w nim kropla potu i krople rosy, jest strumień życia wirujący nad naszymi głowami. Nowe sytuacje wymagają coraz to nowych poetów. Starzy już nie wystarczą, potrzebujemy zmian na lepsze, słów spłoszonych jak sarny, zwięzłej oceny naszego losu. Mówisz mi, abym przerwał ciągle próby odczytania tego, co po nas nastąpi. Musisz przyłożyć litery do oczu i wtedy wszystko na pewno się wyjaśni. Wsiądziemy na statki pijane, na puste dotąd krzesła, wejdziemy na maszty, aby zobaczyć daleki ląd. Wypełnimy sobą przerwana przestrzeń, rozbita bania poezji do czegoś mnie zobowiązuje. Ktoś, kto nas przeczyta usiądzie razem z nami i będziemy tak płynąć wzdłuż śródziemnomorza tacy maleńcy na łupinie od orzecha, stojąc.

Zbieramy kolejne dni, jesteście kolekcjonerami czasu. Nasza kolekcja rozrasta się nieustannie, niekiedy rozpada albo zatrzymuje w miejscu, przypomina płot ogrodzony drutem kolczastym, poza którym dzieje się życie innych. Słyszymy jakieś głosy, niekiedy śmiech i płacz, ale jako łowcy alegorii nie możemy tam dotrzeć. Mówisz: dzisiaj nie obowiązują przepisy o róży i księżycu, słyszę i wiem, że pragnę cię ostatecznie zrozumieć, ale co tak naprawdę podlega zrozumieniu. Stoimy na fałszywym gruncie i na pewno bieglibyśmy szybciej, gdyby nie kolce z tego drutu wbijające się w stopy. Być może są tam też góry i lawiny spadające z ich stoków, jadą puste pociągi, z których nie można wyjść i burza pierwotnych instynktów. Mówisz; weź mnie na zawsze, będziemy na skałach pisali napisy w nieznanym języku, osuwali się powoli razem z kamieniami i śniegiem, aż nas zasypie.

Patrzę na twój profil, myślę o dawnej miłości. Chwytny światło patrząc w słońce, jesteśmy coraz bardziej uduchowieni. Po naszych łąkach chodzą zaświatowe łanie, a opady są tam co najwyżej umiarkowane. Otwieramy albumy, w których zawsze pada deszcz, na bagaże jest jeszcze za wcześnie. Lubię ten rytm posuwisty, wirujące pejzaże, wiatraki przy których kręcą się gromady Don Kichotów. Patrzę na twoje piersi, jest bardzo wcześnie i noc jeszcze do końca nie zamarła. Jest za wcześnie dla ciała, a duch nie chce się też obudzić. Trwamy w zawieszeniu pomiędzy pszczołą i konem, powtórz to jeszcze raz, to ładne, pomiędzy pszczołą i plastrem miodu, to nadmiernie realne, nie powtarzaj. Nic nie jest nadmierne, kiedy patrzę, ponieważ nasze widowisko trwa już wiele lat i jesteśmy w nim jedynymi widzami. Czasami pojawiają się jedynie święty pies albo błogosławione córeczki. My, święci tej ziemi świecimy nieustannie silnym blaskiem.

To jest takie proste, zostać, poczekać, osiągnąłem mistrzostwo świata w czekaniu, w przeczekiwaniu czasu. Na horyzoncie kilka zakrętów, ludzie odpowiedzialni i ja nieodpowiedzialny, nieprzewidziany w ogólnej historii ludzkości, staram się sprowokować przypadki, gry losowe, dalszy ciąg tej historii. Jestem już zmęczony, wyszedłem z domu i nie wróciłem, ktokolwiek widział, ktokolwiek wie... Odchodzę coraz dalej od ziemi i nikt nie może mi pomóc, nawet ci, którzy odchodzą razem ze mną. W dole katedry, mrowiska, strażę pilnujące porządku na parkingach. Ja też jestem nieustannie pilnowany, nie wiem jednak, kim są moi strażnicy. Na szczęście są niewidzialni, żyją w szczelinach pomiędzy duchem i materią, mają klucze do obu bram i do wszystkich pułapek zastawianych na mnie po drodze. Dzięki temu mogą mnie uwolnić w każdej chwili, osuszyć płynne kraty, oczyścić zamki z pokładów rdzy. Na postoju podają kawę i coś do jedzenia, sytuacja jest prosta i związana z życiem doczesnym. Jestem gotów na wszystko, mój portret odbity na szybie do ubikacji ulega zwielokrotnieniu.

Nadal liczę na niezwykłą siłę słów. Liczę do stu, do tysiąca, liczby się powtarzają, nie potrafią wyprowadzić mnie z pętli czasu. Doznałem kilku iluminacji oraz kilku erekcji nad ranem. Będę zbawiony i nikt mnie już nie oślepi. Najtrudniej jest rozpoznać nici połączeń, sekretne powiązania pomiędzy zdarzeniami i ludźmi, przedmiotami i ich znaczeniem. Wznosimy toasty za dobre jutro, nasza myśl płynie swobodnie, ponieważ jest łagodna i wilgotna jak bohaterki niektórych opowiadań. Dzisiaj od rana opisuję ich ciała, ich architekturę brwi i kolumnady ramion. Przepływamy rozległą równinę, ty będziesz górą a ja doliną, coraz słabiej słyszemy nasze kroki uciszone przez miękką trawę łąki. Taki pejzaż, pełen odgałęzień i zakamarków, unieruchomiony na chwilę istnienia tego obrazu, utrwalonego pod nami jak na płótnie lub desce. Potrzebne są jeszcze twoje korale rozsypane pośród kwiatów i kilka koralowców z Wielkiej Rafy. Natura wymaga uzupełnień, to tylko my jesteśmy doskonali.

Czytam, że jeszcze nie nastał czas pustyni. Kocham pustynię, sytuacje bez wyjścia, cudze słowa, które trafiają w moje serce. Proszę, aby nikt mnie nie dotykał, żyję na kredyt jako pacjent i lekarz jednocześnie. Powinienem sam siebie uleczyć, jeść witaminy, walczyć z aktualną władzą, chronić bliskich przed zimnem. Powinienem mieć widzenia i przewidywać przyszłość, ale od pewnego czasu nic mi się nie udaje. Moje cierpienia są jakby z celofanu, znalazłem się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Na liściach rano jest jeszcze szron, który powinniśmy chronić przed ciepłem wiosny, ale nikt przecież tego nie robi. Nie ochrania się kruchego piękna. Może kiedyś powrócimy, aby to zrobić. To taka nowa gra o przetrwanie albo o powrót na ziemię po raz kolejny, tym razem bez poezji.

Odebrałem tyle listów, połączyłem wszystkie kierunki świata na jednej kartce i powstała ciekawa konfiguracja bieli i czerni. Nikt tego dotąd nie zrobił, a ja pozwoliłem sobie tym razem na świeżą abstrakcję. Moja arabeska pulsuje w białej parafinie, jest płynna i trwała jednocześnie. Nasz stopiony raj, mówisz, nasz stopiony raj, z którego nie pozwolimy się wypędzić. Powroty rzeczy, zawłości zdań, czuję się, jakbym był na ostrym wirażu i muszę nieco zwolnić, aby nie upaść. Ludzie czynu wyprzedzają ludzi beczynnych. Jestem pośród nich, nie chce mi się budować piramid i walczyć na najbliższej wojnie. Piszę pożegnanie jutra na welinowym papierze. Dojrzałe kobiety patrzą mi przez ramię, proszą o więcej, są jak zwykle zachłanne i nieposkromione. Chcą rozerwać na strzępy kolejnego Orfeusza nie wiedząc, że stanowią jedynie kolejny element tego wzoru i nikt już tak naprawdę na nie nie patrzy.

Wiedziałem, że na ból głowy pomaga myślenie o Arkadii. Tam zawsze jest sporo miejsca i nikt nie mówi o polityce. Opowieści opowiada się wolno i z namysłem, aby nie uronić ani jednego słowa, a seks jest wytrawny jak wino ze wzgórz Prowansji i sprawia, że na naszych ciałach pojawiają się zdyszane oddechy przesunięte o jedną dolinę, o kilka stoków czystego powietrza. Nimfy i driady piją chciwie ze źródła młodości, szmerliwe potoki potrafią zaokrąglić lasy i uczynić z nich wzór geometrycznej doskonałości. Panuje cisza spragniona i wieczna, przerywana echem płatków spadających z krzewów najśodszych. Toczy się kula z jabłkiem grzechu w środku i wiemy, że pozostanie tutaj dłużej sprawi nam jeszcze większy ból po powrocie, przez nią przecież tak trudne jest nasze życie.

Poszukuję prawdziwych dzieł sztuki. Jestem w tych poszukiwaniach niesłychanie zachłanny i osamotniony. Inni też szukają, ale ich szczerłość działania jest najczęściej wątpliwa, a oczy zatarte mgłą. Nie jestem krytykiem, jestem krytycznym uczestnikiem pewnego spektaklu, który rozpościera się przed moim oknem pełen sztucznych dekoracji i rzek, nad którymi jest wiele spalonych mostów. Sztuka biedna walczy ze sztuką bogatą, żelazo uderza o tombak. Moje spierzchnięte wargi, moje gruzowiska, których nie potrafią rozgarnąć najsilniejsze ręce. Może dlatego, że najczęściej są połamane przez przypadkowe gesty i nietrafne wybory. Jeszcze kilka kropli krwi i powstanie dzieło pełne spójnego wewnętrznie krytycyzmu. No, nie przesadzajmy w jej rozlewie, wszystko powinno mieć swoje granice i zachować daleko idące poczucie dobrego smaku. Rzeźnia nie jest nam potrzebna, podobnie jak nadmierne zabawy z własnym istnieniem lub babranie się w szybko tężejącej glinie. Możemy ją nakarmić i napoić, ożywić z martwych lub w ogóle przekształcić w pulsującą energią egzystencję. Możemy nałożyć sobie cały świat na oczy i zasnąć, sen tak bardzo sprzyja dziełom sztuki, podobnie jak śmierć artysty lub wieść o zaginionych arcydziełach.

Szukam drzwi prowadzących do następnej strony. Można to rozumieć dosłownie i wyobrazić sobie przerwę albo otwór w kartce papieru, poprzez które widać kolejne zapisane kartki. Wśród nich znajdujemy zdania nie do końca określone i napisane oraz fragmenty wręcz doskonale literacko, które jednak giną wśród natłoku rzeczy błahych i miałych, jak zwykle pieniądź zły wypiera pieniądź dobry i kilka strof pamięci albo wersów o sobie samym dla potomności jak za dawnych czasów, gdy wierzono jeszcze w jakąś potomność, w rzeczowniki, które nazywają i przymiotniki określające czyjeś przymioty ciała i ducha, przeszkody do pokonania, grzechy do wybaczenia, pokutę, która zbawia i oczyszcza nas ze zła, a nie tak jak teraz, kiedy poruszeni widokiem piękna musimy milczeć, aby nie narazić się na drwiny albo obojętność i tylko wierne psy i kochające kobiety, ale ile razy można mówić i pisać o tym samym i każde działanie jest za wcześnie, a każda myśl za późno lub inne drzwi bez odrzwi i klamek, puste w środku, niebezpieczne jak rzeka bez powrotu, lecz o tym nie będziemy pisać, ponieważ nie lubimy stwarzać sobie nadmiernych kłopotów z metafizyką, od tego mamy filozofów i przygodnych mędrców, którzy nie muszą się martwić, czy granice pytań to dobry tytuł i czy ktoś go zauważy idąc ulicą tuż obok wystaw sklepowych i reklamy dezodorantów i tylko nasz oddech, coraz szybszy oddech tekstu, który porusza się regularnie, który nas porusza regularnie, ponieważ przechodzimy przez te drzwi wprost do labiryntu i nie ma teraz dla nas więcej przeszkód ani cierpienia, oporu powietrza i tak łatwo jest już oddychać w tej doskonałej próżni, wielkim pięknie nie mającym początku ani końca.

Muszę się spieszyć, musimy się spieszyć, malujemy portret pokolenia, które ucieka nam spod pędzla, spod pióra, umiera nieopatrznie i bezwolnie, jakby nie chciało lub nie mogło się obronić przed śmiercią, a to jest przecież takie łatwe, wystarczy nie umierać przedwcześnie lub wcale, podobno jest to możliwe, przypadek Horacego, przypadek Hitlera, którzy trwają i trwają, no, może bez przesady, co to za porównania, ale jednak, coś w tym jest, kolejny dzień sławy i kolejne sale pamięci i gdzie my teraz jesteśmy, czy znaleźliśmy się chociaż w przedsionku, przedpokoju, jak lokaje lub służba posłuszna i wierna swoim czasom z tacą, na której leżą nasze głowy, a mimo to nie jest o nas głośno, tyle zabiegów, cierpienia i nic z tego, być może miłość nas uratuje jak zawsze, ale do kogo, do czego, jak wybrać przedmiot miłości, najlepiej jest usiąść i poczekać, może sam się pojawi albo ktoś go przyniesie przy dźwiękach cymbałów brzmiących jak dzwony z pewnego kościoła w Paryżu sprzed wielu wieków, z czasów króla słońce i wielu kochanek, które, podobnie jak król, myły się rzadko, nie jest jednak konieczne o tym wspominać w czasach higieny absolutnej, ponieważ kreślimy portret człowieka współczesnego, czysty i zamazany przez wielokrotne użycie, ale nadal nadający się do wykorzystania.

Jak dotąd wystarczyło nas na kilkanaście prawd, co nie nowe, na parę próśb skierowanych do Opatrzności i na kilka szans, które się nie wypełniły odpowiednią treścią i których oczywiście nie wykorzystaliśmy, aby móc rozpatrywać nasze stracone złudzenia i szczęście, które przeszło obok jak jakiś sen złoty, tak mówisz i ja cię nie poprawiam, chociaż wyczuwam nieporadność tego sformułowania i lekką nutkę grafomanii jak w pismach dla kobiet, przy całym szacunku dla ich niewątpliwie istotnych oraz postępowych treści i cokolwiek buńczucznego tonu wynikającego z charakteru płci i konieczności walki o swoje prawa, ale po co ja to mówię, miałem raczej omówić naszą tęsknotę, którą trzymamy w zaciśniętej dłoni jak ptaka albo mrówkę nieopatrznie zabraną z mrowiska, z którą nie bardzo wiemy co mamy zrobić, bo zabić nie wypada, a ona jest taka delikatna i przyjdę do ciebie jak noc majowa, albo podobne komunały i ocenię twoje ciało, twój umysł, czy służą sobie z wzajemnością i będę patrzeć na twoje zatarte powieki, na oczy, które kocham jak dwa jeziora w głębi gór i na sen dziejący się w pokoju bez zasłon otwarcie i bezwstydnie, i na dni poddane nocy i na wnikanie w naszą miękką przestrzeń bez łez i miraży daremnych, przestań, wystarczy, jak długo tak można, ubieranie w słowa, fałsz silniejszy od fałszerza i dodam jedynie, że w strumieniu świadomości najtrudniej jest znaleźć wyschłe miejsca, kamienie, po których można przejść na drugą stronę, zakończyć, postawić wszystko jak zwykle na ostatnią, niepewną kartę.

Ten wysoki ton sztuki, prosimy o wyjaśnienia, przecież już jaśniej się nie da, nie można w podwójnym locie nikogo zatrzymać, a przyszłość wydaje się być coraz bardziej szczęśliwa, ponieważ nieustannie migoczą kursory i prąd napędza nasze myśli poświęcone bieli i słońcu, pomarańczom rozbijanym na stoku. Pękają nasze wnętrza, najnowsze owocobranie, wyciskanie soku winnego jak w starym filmie, z drewnianej kadzi, na bosaka, podajemy ton po raz drugi i słyszymy śpiew słowika, opowiadamy opowieść o cesarzu i o jego sługach, a wiatr nabrzmiwa sokiem płynącym z naszych otwartych ust wprost do naczyń ustawionych na stole i możemy wypić ich zawartość, obrać z pestek i łupin aż do barwy istotnej, zasmakować po raz ostatni tuż przed końcem projekcji. Twarze na sprzedaż prześladują mnie od dawna, pierwociny mojego smutku i nic się nie udaje ostatecznie, nie potrafię, nie wracam, nie zostaję, nie jestem, tak jest najlepiej, niedopowiedzenia, nie ma stoków i wyżyn, tak jest najlepiej.

Trzeba po sobie pozostawić jakieś ślady, obsesja, zatrzymanie światła. Jest najszybsze, masz rację, trzeba coś zostawić trwałego i obsesyjnego jak religia wyryta na skałach albo kręgi kamienne tuż niedaleko wielkich miast. Poruszamy się we mgle, jesteśmy jak zwykle spóźnieni i pewnie nie zdążymy niczego sensownego zrobić. Pościeliłaś białą pościel, poduszki, przezroczyste prześcierała, jutro trzeba rano wstać, mówisz, pościeliłaś pod moją głowę sen, jesteś moją dobrą wróżką, kolejnym porankiem i tak bez końca, słowa odbite w glinie trwają dłużej, rękopisy nie płoną, stare garnki domagają się po wiekach nieustannego szacunku, chociaż są nieme jak łabędzie, które przyleciały do naszego gniazda i nie chcą odejść zasmucone tym, że nadal nie istniejemy i nie bije nam żaden dzwon, jak to nieobecny, ostrzegają nas przed zawieruchą, burzą dziejową, przed którą powinniśmy uciec do ciepłych krajów i już odkładamy pieniądze, ale jak tam nam będzie, jak opowiemy naszą historię nie znając miejscowego języka i tyle jest tam zaraźliwych chorób, niedobrych podziałów nieba, przypadkowych zdarzeń, nad którymi nie zdołamy zapanować i znów zbyt daleko odbiegłeś od tematu, od podkrążonych niezdrowo oczu, głosów słyszalnych tylko pod naszym księżycem, ale jaki tak naprawdę był ten temat, oprócz nas nie było innego, może ślady zachowane jak ofiarne zwierzę przestraszone sobą, jak wieniec na głowie zwiędły, zatrzymany, szybszy do światła.

Teksty rozmnażają się przez podział jak ameby, przypominają nieskończone linie odbite nieustannie powracającym echem, są wieczne, ponieważ potrafią się ukryć między najwyższymi drzewami i przeczekać trudne czasy jak zagrożone wymarciem zwierzęta. Poza nami na wpół przymknięte pokoje, kilka lusterek jak zawsze, twoje rękawiczki leżące na stole. Palce na klawiszach z kości słoniowej, wiązanka fiołków przypominająca, że zbieramy doznania opuszczone przez innych, przygarniamy do siebie sieroty minionego wieku, jesteśmy z innej epoki, pamiętamy najwyraźniej dni, które minęły i powierzchowne, nieprzespane noce, nie należymy do czasów nam współczesnych, do nowych prądów i kierunków, ponieważ najczęściej brodzimy po podmokłych łąkach miłości, osiedlamy się na mieliźnie powstałej po odpływie oceanu razem z przelotnymi ptakami i małżami, które są wieczne i wyraźnie obawiają się kolejnego przypiływu śledząc groźne linie nowego nieba, patrząc na przechodzące nieopodal stada mastodontów, które pozbawione głów błądzą pośród moczarów. Najłatwiej jest wtedy spróbować zapomnieć, zamknąć oczy, podnieść rękawiczkę, zanurzyć się w jej erotycznym wnętrzu, napisać coś o sobie albo o historii ludzkości.

Znowu ktoś umarł, a obok wybudzają z głębokiego snu. Jest remis, na wystawie sporo lalek, parę manekinów, kilka kadłubów z trocinami w środku, jakieś stare zbiory rzeczy niepotrzebnych. Staram się ich nie zauważać, w przeciwieństwie do nowej fasady i nowych zabawek, które kupiłaś mi, abym całkiem nie zdziecinniał. Są nowoczesne, ze stali i miedzi, wewnątrz dolina krzemowa czy coś takiego. Lubię się nimi bawić, chociaż nie wszystko w nich rozumiem jak większość ludzi, znakomita większość populacji. Idziemy razem niosąc sztandary postępu, ale wiemy, że nie należy dać się ponieść emocjom – na gładkiej ulicy najłatwiej jest o potknięcie. Wystawy pomieszane z niepokojem i cieniem ulicy, a właściwie moim niepokojem, ponieważ od pewnego czasu układam siebie na nowo, z chmur i z deszczu, z braku innych możliwości. Widzę, jak złodziej dzieci położył na szybie worek zamknięty dla dorosłych. Musiałem go dzisiaj spotkać, ale przeszedł obok mnie niezauważony. Tacy już są złodzieje, szczególnie ci od dzieci, że ich nie zauważamy. Lepiej jest mieszkać wtedy na ostatnim piętrze, pośród secesyjnych akantów i wspaniałych atlantów, pośród dorosłych, których na pewno nikt nie ukradnie.

Kilka zarzutów do mojego coraz bardziej niepokojącego mnie ciała. Nie jest nadmiernie udane i nie potrafi wspinać się na najwyższe góry. Jest leniwe i krnąbrne, często chce wybiegać przed szereg i muszę je przez to karcić coraz bardziej surową dyscypliną. Niekiedy staje się słowem i to jest najgorsze. Myśli naiwnie o swojej młodości i wie, że bezcielesność na pewno mu nie pomoże, ma swoje ideały i odnosi się do nich bez niezbędnego dystansu. Lubi dużo dawać z siebie, a później go mi brakuje i nie mogę odnaleźć tej utraconej części, która na pewno byłaby mi potrzebna. To taka zabawa, przecież wszyscy o niej wiedzą, na zimno należy dmuchać, gorącym należy się sparzyć. Nie będziesz miał drugiego, są na to świadectwa bardzo wyraźne i ostateczne. Dlatego uspokój się i przestań myśleć o śmierci, myśl o dobrej pogodzie, zapachu wiatru. Nie myśl, najlepiej nie myśl, podmuch życia jest jak delikatny kokon, odczuwasz go niewidzialnie i to powinno ci dzisiaj wystarczyć.

Muszę z kimś porozmawiać, nie wiem z kim i dlaczego. Nie wiem, kto przychodzi do mnie i jak się nazywa, być może jest bezimienny, nie posiada jeszcze żadnych uczuć, ani nie przeżył zbyt wiele, istnieje tylko tutaj i w tej chwili i być może za jakiś czas zniknie. Wzruszenie nie pozwala mi mówić, on też milczy i tak jest dobrze, jak za szklaną ścianą i nie będziemy się rozpisywali nadmiernie ani byli zbyt długo obecni. Najprawdopodobniej to jakiś znajomy, albo przypomina kogoś znajomego, z dawnej przeszłości, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi i wszystko to, co codzienne, nie bardzo nas martwiło, ktoś od świętych lasów i pól przezystych, z pogranicza jawy i snu, brzegów milczenia. Na szyldzie miejscowego sklepu paw i papuga, znowu jestem w kraju, wróciłem, chociaż nikt tu na mnie nie czekał, oprócz niego, wpatrującego się we mnie uważnie sówiokim spojrzeniem; umiłowany kraj, niespotykany, mówiący w znanym mi języku, wystarczy.

Radzę ci, nie patrz w siebie, patrz na mnie albo na klamkę w drzwiach. Tylko nie bebeczy i nie kawał mięcha, patrz w ziemię z pokorą i wstydem, ludzie lubią pokornych i wstydlivych, lżej jest wtedy przetrwać, zamienić się w sztuczny mur, zostać żeglarzem żeglującym po oceanie cienia, błogosławieni cisi, bowiem mają oni sporą przewagę nad innymi nie wydając z siebie głosu i wiesz, że wszędzie jest inaczej i trzeba mieć zaproszenie, żeby wpuszczono cię do głównej sali, byłem, jestem, będę i na tym moglibyśmy zakończyć nasze konstelacje, układy niebieskie, jest inaczej niż w naszej jaskini, z której wydobywamy się starannie, aby nie patrzeć na jej odrapane ściany i przedwcześnie zgasła pochodnię, osłupienie i brud, nie patrz w ziemię, pod twoimi stopami nie ma już dla niej oparcia, jest najprawdopodobniej niebo, ale ty jeszcze o tym nie wiesz i być może nigdy się o tym nie dowiesz drogi ludożerco.

Krew powinna płynąć swobodnie, później pustka, zatrzymanie słów w ich nieustającym pochodzie. Zdania są nierealne, mogą biec w dowolnym kierunku, pomagają mi przetrwać kolejny dzień, wejść do dziwnego ogrodu, w którym trwa wieczne lato i na trawnikach rozłożono święte księgi nieznane dotąd ludzkości. Jest w nich rozwiązanie wszystkich naszych problemów i ostatecznej zagadki śmierci, sporo pojęć i definicji ogarniających cały wszechświat, tajemnica dzieła sztuki potężniejszego niż inne, sploty i fantazje powstałe po zabiciu kilku Lewiatanów oraz zatajone przed całym światem opowieści doskonałe w swej wewnętrznej harmonii i szczęśliwym zakończeniu wszelkich perypetii. Pozostaje mi jedynie przeczytać kilka ksiąg, a stanę się potężniejszy od strażników tego ogrodu, bardziej delikatny niż żyjące jeden dzień motyle, bardziej poetycki niż rosące pod murem dzikie kwiaty. Poezja lubi wykorzystywać swojego wyznawcę, zapala samoistnie zapalki, gasi płonąca wodę, sprawia, że gwiazdy zbliżają się do nas, abyśmy mogli zobaczyć ich żar emocji i płytkość umysłu. My też jesteśmy gdzieś obok niej, służymy przecież do niczego, do pięknego niczego.

Czekałem na ciebie dłużej niż trwa blask twojej skóry, dopowiedzenie myśli, trudny wiek dojrzewanja, prosta rezygnacja. Słyszymy razem ciszę, słyszymy dźwięk cięcia mieczem i przelot jaskółki, potrafimy wiele wybaczyć. Potrafiliśmy porozumiewać się bez słów, przyjmować w siebie coś, co istnieje pomiędzy nami jak dobrą nowinę. To przychodzi z wiekiem, zagubienie w czasie, błędzenie na manowcach dni i nocy. Zbieramy wiatr, siejemy burzę, widzimy zamęt na dnie popiołu. Mówimy: wejdź we mnie i staje się światło świata, bezbożne i kruche zarazem. Mówisz: wejdź we mnie i nie wiemy, kto powiedział to po raz pierwszy, kim oni byli, nieustannie oni pojawiający się na początku zdania, nieokreśleni, wybrani spośród wielu możliwości naszego języka. Miałem opisać po raz setny i tysięczny moment oczekiwania. Po co to robimy i kim my tak naprawdę do kurwy nędzy jesteśmy.

Pustynne drzwi, drzwi na pustyni są jak nasze dłonie, niepotrzebne, otwarte, bezbronne, każdy może przez nie przejść domagając się dalszej drogi do naszego ciała. Jeszcze raz piasek osypuje się wzdłuż skóry przez jej wgłębienia i uniesione ramiona i widzę, jak w czystym świetle lśnią jego odrobiny, ziarenka mokre jak na plaży tuż przy brzegu i fale, które potrafią więcej od nas, są niepokalanie poczęte, łaski pełne, modlą się za nami grzesznymi, kiedy my oddajemy się miłości i patrzymy na odległe drugie światło, które jest brudne jak przez ciemne okulary, odgradzające nas od prawdy i kamyki okrągłe i puste w środku dźwięczą gdy piszemy na nich kredą kolejne wyznania, wyznajemy winy niepopołnione, ustawiamy tablice z jedenastym przykazaniem, śnimy białe sny o potędze między udami gdzie brak ścian i okien, tylko drzwi prowadzące nas na koniec horyzontu, który widoczny z naszej strony morza oddala się, kiedy staramy się go osiąść, dopłynąć kolejnym ruchem bioder i tylko ptaki o suchych dziobach i skorpion ukryty pod trawami obecne przy nas na zawsze, jak zawsze.

Ubrałaś na siebie ozdoby jak płatki lnu, błękitne i srebrne, ponieważ po raz kolejny jesteśmy w raju i wypada się jakoś ubrać przed wizytą Najwyższego, który w swoim czasie rozmyślił się i nie wypędził nas do Ziemi Nod ani do Polski, czyli do nikąd i nie wiem, dlaczego oni nas tak traktują, kiedy u nas jest tyle szarotek w górach i widoczki przezyste, a czasami płyną białe obłoki nad białymi bocianami. Na moich palcach kwitnie mech, jestem już stary, mam tysiące lat i nadal siedzę pod tym drzewem, ponieważ nie lubię podróżować, a uwielbiam pobliskie rośliny takie jak jałowiec i nieśmiertelniki, ty szczęśliwie jesteś coraz młodsza i trochę się tego obawiam, jak pogodzić codziennie starość z młodością, gdyby młodość wiedziała, gdyby starość mogła, to jedna z przypowieści Najwyższego, który lubi też dymy stosów i trzask płonącego ognia, ale na razie tego nie doświadczamy, ponieważ najwyraźniej zapomniano o nas tutaj na szczęście, nasze barwy ochronne też pozwalają nam przetrwać w utajeniu i dlatego te kwiatki i mech i ornamenty roślinne jak na obrazku z infantylniej czytanki, pierwszej i ostatniej zarazem.

Zasłony nocy utkane z naszych tkanek, z przędzy tęczówek, z kolorów świata zasłaniają noc i nie pamiętam, jak mam rozwinąć dalej ich materię, dokąd sięgną i dlaczego potrafią rozkołysać nas jak małe dzieci w naszej kołysce z różowymi zabawkami odnajdujemy dwa wnętrza i to co jest na zewnątrz, bawimy się sobą, stosunek przerywany bez przerw i bez zabezpieczeń pozwala wejść głębiej w ciemne światło, którego nie można zgasić jednym ruchem i nie będzie głosów braci poza naszym murem, czytasz, nie będzie dźwięku młotów, ponieważ nasi wędrowcy są razem z nami, czekają na deszcz i na nasiona oblepione mlekiem, pobudzane ustami, kręć się kręć wrzeczono, spadające przedwcześnie liście, mówisz, papier wszystko przyjmie, nawet nasz głód i to, że stajemy się jedną z nici tej tkaniny, jednym z jej splotów, fałdą, struną o brzmieniu mrocznym i głębokim.

Piszemy testament, przekreślamy słowa, ponieważ żadne z nich nie jest godne naszej ostatniej woli. Najlepszy byłby testament bez słów, pusta kartka, spalony telegram zapisany wielkimi literami na kawałku kory albo płatkę twojego mięsa, mówiący o tym, że niczego nie mamy i tak jest najlepiej, sprzedaliśmy wszystkie meble i dom z ogrodem albo studnię bez wody, musisz coś wymyślić, na odchodnym ma się nieraz dobre pomysły. Można też podarować im wędrownego gołębia z podartymi piórami, ze zbyt ciężkim listem, który miał komuś dostarczyć po drodze, jesteśmy przecież w podróży, jesteśmy przechodniami i przez to nasza korespondencja może odbiegać od normy, drażnić wysoką retoryką niektórych czytelników, którzy trwają nieustannie w tym samym miejscu okna, na parapecie, oparci na poduszce z gęsiego pierza jak w domu i nie potrafimy przez to złożyć sensownego tekstu, przelecieć nad sobą i przeczytać ponownie napisane strony, co jest w nich cenne, a co wydaje się być całkowicie nieudane, złe nowiny, litery przemoczone naszym potem i łzami są nie do odczytania, najlepiej czują się na zawiniętym w masło papierze, w tanich sklepach, na wydartych z kartonu opakowaniach i instrukcjach obsługi, nie u nas, u nas są przez pomyłkę i tak naprawdę chciałyby od nas już odejść, udać się na zasłużony odpoczynek.

Tyłu już nas odeszło, tyłu zabrał czas i złe lustra, w których odbija się wieczność. Nasze dachy, które miały nas chronić są coraz mniej szczelne, przecieka przez nie śmierć błada i niezauważalna, wieże naszych zamków odcinane są stopniowo od murów obronnych, z gzymsów zwisają wieczne sople, które nigdy już się nie roztopią, w najwyższych oknach twarze przyjaciół patrzą uważnie, są wszędzie, nawet w ten piękny majowy dzień nie chcą się rozpuścić i zniknąć, i myślę o tym, w którym soplu pozostała jeszcze odrobina ciepła, siwy dym z komina, smak wiśni. Najpewniej nic już nie pozostało, ludzie ściskają w dłoniach suche krople, proszą o datki, o wieczne światełka, te olejowe świecą dłużej, a kwiaty najlepsze są sztuczne. Można je odkurzyć co jakiś czas i są jak nowe.

Widziałem wczoraj spektakl uliczny, linoskoczków i połykaczy ognia na ulicy pewnego historyka, który umarł dawno i był znawcą naszych dziejów ojczystych. Wszyscy byli przebrani w odświętne stroje, ogień nie parzył, a lina się nie zerwała i mogliśmy tak patrzeć na nich w uniesieniu bez zabezpieczenia, na gwiazdy wysoko i odwrócone od nas sieci drzew niesionych na rękach przez zręcznych aktorów i dzieci w wózkach albo w ramionach rodziców, taki pejzaż i bruk pod nogami bliski ideału, mówiłaś, że sprzyja im pogoda, sprzyja nam pogoda, jesteśmy pogodni i nic nas od rana nie boli, a podłoga nie ugina się pod nogami nawet w czasie obecnego trzęsienia ziemi, ponieważ wszystko dzieje się poza nami i przez to wydaje się być mniej pewne, przemijające, ulotne czyli najbardziej trwałe na tym najlepszym ze światów, a innego nie mamy i nie będziemy mieli, co jest dosyć pocieszające, słyszymy to codziennie, opowieść o ludziach we mgle i o błaznie, którego czaszkę ktoś odkopał i po co się tym martwić, kiedy nasza kołyska jeszcze się kołysze, ścieżki są wydeptane i buty dosyć wygodne, dostosowane do chodzenia na linie.

Siedzimy razem za stołem, śpimy razem w jednym łóżku, kochamy się razem czyli osobno, nasza wspólnota rozkwita coraz bardziej, telefony nas łączą, myśli wybiegają w przyszłość, dotykamy pod stołem naszych miejsc intymnych z pełną wzajemnością, przełączamy kolejne stacje radiowe z ich hałasem i szmirą, której dłużej nie sposób jest znosić. Zmieniliśmy nasz styl wypowiedzi, chcąc być zrozumiałymi przez ogół w sposób prostszy i komunikatywny. W tym momencie proszę o wybaczenie miłośników tekstów ciemnych i zapętlonych wielokrotnie wokół środkowej przydawki. Unosimy głowy spod gilotyny, walczymy nadal o naszą wyobraźnię, ale tym razem w sposób bardziej zakamuflowany i bezbarwny. Powrócimy jednak do kolorowych przekonań, ptaków pawiopiórych przy naszym stole, które trzepocząc skrzydłami, opowiadają o ojcu, o jego przypadkach na strychu i przy kominie, wystarczy jeszcze tylko kilka lat i nasze słowa zamienia się w ciało, ciało w popiół, popiół w sól ziemi. Wystarczy nas dla wszystkich, jak chleba powszedniego i wody źródlanej, wystarczy.

To był wspaniały wiersz i co się z nim stało, dlaczego zaginał pod warstwami książek, kurzu, starych kluczy, które do niczego już nie pasują. Był o kluczu do ścian płaczu, do ścian ognia, pod którymi stoją ostatni już wyznawcy, o kluczu złożonym z płomiennych łez i złożonych do modlitwy rąk, o świętych ukrywających się pod kamieniem jak mrówki spragnione miodu i szlachetnych czynów. Wiersz posiadał wewnętrzny rytm, potrafił otwierać sobą pałace Boga, odczytać krzyk żurawi i ślady błota na naszych butach, jego kraina mieściła się pod dalekimi chmurami, była natchniona, unoszona na zagubionych przez aniołów skrzydłach. Byliśmy w nim, to ja w nim byłem, w oknie jego krajobrazów, w piramidzie, która pozwala przetrwać nawet najuboższym z nas, jeżeli tylko będziemy umieli połączyć się w jedno z wyobraźnią, z najcenniejszymi zbiorami miejscowych zbieraczy skarbów, z zaklęciami powtarzanymi przez nasze usta mimowolnie i szczerze; a teraz zamykamy, wyrzucamy klucz, proszę tu nie stać, drzwi były otwarte zbyt szeroko, państwo wiecie, dzieli nas za duża odległość i nasze wnętrza nigdy nie przystaną do siebie.

Ludzie ogarnięci sztuką oddychają inaczej, napisałem to mimowolnie, Kocham mimowolność, spontaniczność głupców, piszesz: człowiek jest już po tamtej stronie rzeki, udało mu się przebrnąć przez bród nie zamoczywszy nóg, jej zapach jest jak zapach kobiety, sploty, niedokończony. Pozostałeś na tym brzegu na dłużej, masz jeszcze wiele spraw do zakończenia, nie możesz tam tak po prostu odejść i wszystko zostawić, ale jakie są to sprawy, skąd tyle chaosu w twoim życiu, pytasz; czy wielu z nich zwymiotowało rzekę przeznaczenia i czy można wtedy powrócić? Piana zapomnienia osiada na piasku, Kochasz miejsca graniczne, zawroty głowy nad ranem, jesteś po tej stronie i przygotowujesz się do podróży. Trzeba mieć plecak, trochę pieniędzy, które dawno już wyszły z obiegu, sporo doświadczeń życiowych, żonę, dwie córki, psa, artykuły piśmienne i niepiśmienne i latarenkę na noc.

Patrę na nasze zdjęcia, na to, co z nas zdjęto przed laty i co pozostało niewyraźne jak klisza Boga. Fajerwerki wybuchały wtedy zbyt blisko i można było się oparzyć, piliśmy tanie wino i palili extra mocne, wiedzieli, że jutro będzie nasze, a wczoraj już przestało istnieć. Dzieci jeszcze nie było, byli matka i ojciec stojący przy trabancie i chodziliśmy na spektakle za pół darmo, ponieważ był socjalizm. Iluminacja życia pod gwiazdami i poszukiwanie tej jednej, tej jedynej, z którą każdy z nas chciałby się związać. To były zimne ognie, ognie, które nie parzą, taki zwyczaj świąteczny i nasze serca gorące i seks wytrwały i czysty. Kochaliśmy się na materacu z anielskich włosów, których nieopatrznie kupiliśmy za dużo i nie wiadomo było, co z nimi zrobić. Małe świętokradztwo pochwalane przez niektórych świętych pańskich, tych bardziej postępowych. Czy święty może wierzyć w postęp świata i dziejową konieczność? Oto pytanie, na które kiedyś być może uzyskamy odpowiedź z pewnego źródła. O ile są jeszcze jakieś pewne źródła.

Zbliżamy się do końca, brak nam jeszcze kilku ustaleń, ale naprawdę nie ma ich zbyt wiele. Pozostają wątpliwości i ewentualna szansa kolejnych prób, aby się zbliżyć do istoty słowa. Słowa mają swoje korzenie i ciężką koronę, którą nakładają na głowy wybranych. Wiem, że mnie lubią, ale niekiedy porzucają w ciemnym pokoju, żebym mógł dojrzeć je lepiej w pełni światła bijącego z ulicy. One są tam, w swoim żywiole, zamykają to, co jest otwarte i otwierają zamknięte, czują ich powiew na twarzy, ich życie jakże odmienne od mojego. Powinniśmy zamienić się miejscami, zobaczyć oś wiecznego powrotu, pień myśli ulotnych i chybotliwych. Brak nam jest jeszcze kilku ustaleń, nie wszystkie próby zostały zakończone i nie zawsze jeszcze udaje się nam transmutacja rtęci w złoto. Najprawdopodobniej przeszkadza nam w tym kora drzewa, które rośnie za oknem, jego szumiące listowie, deszcz padający od rana, moja nadmierna niecierpliwość.

Nie zwodzę już mostów ani nie podnoszę do ust Pana. Zająłem się poszukiwaniem wody na pustyni, przystani, do której mogą przybić nasze statki wypełnione złotymi owocami. Mówisz, że zawsze mogę na ciebie liczyć, że będziemy zawsze razem, płyniemy z prądem i to jest najważniejsze, życie przed życiem, życie po życiu, do wyboru. Słyszymy kołysanki grane na fletni lipowej, pragniemy być śpiewakami ludu, który nie wie, że na naszym moście drogi są ustalone, a poręcze bezpieczne, ponieważ nie musimy już o nic walczyć, ani też ostatecznie się poddawać. Zajmujemy się przesypywaniem piasku w klepsydrze, zajęcie takie jak inne, wystarczy odwrócić i sypie się znowu i tak bez końca. Ktoś musi ją jednak obsługiwać, jest maszyną bardzo prostą, tylko nastawioną na wieczne trwanie. Patrzymy na nią uważnie, czy wystarczy piasku i czy wiatr go nam nie rozmiecie. Przystań na pustyni zawsze jest lekko irrealna, musimy to sobie uświadomić.

Na ławce w parku kilka nieprzyzwoitych napisów. Tu Ala cnotę straciła i to wszystko chuj. Pismo Boga, jak zawsze, skrzywione litery pisane w pośpiechu, zwierciadła idei co nie nowe. Można tutaj znaleźć wszystko, udrękę i ekstazę, wściekłość i gniew, ludzie ludziom zgotowali ten los. Pary zakochanych swobodnie oddają się miłości, drzewa umierają stojąc. Wybieram tym razem samotność, pochylam nad ludzką ułomnością, staram się ją nazwać sobie a muzom. Na dłoniach mam żelazne pierścienie, w rękach księgę powtórzonego prawa. My prorocy i egzegeci żyjemy swobodnie, ponieważ wiemy, że nasze proroctwa nigdy się nie spełnią, a interpretacje będą błędne i niedostosowane do istoty wydarzeń. Przesuwam moją pamięć na skali niepamięci, oczyszczam ją z wirusów i przypadkowych zapisów. Cały ten śmietnik można wywalić jednym dotknięciem klawisza. Nas też będzie można wywalić jednym dotknięciem klawisza i później nie będzie można nas już odzyskać. Kiedyś było inaczej, potrzebne były wojny, egzekucje, śmiertelne zarazy, fale przyptywu i gromy z jasnego nieba. Teraz jest znacznie prościej, natura dąży do uproszczenia pewnych schematów działania, a my jesteśmy częścią natury. Jest szansa powrotu, odbicia naszych profili na oparciu, na sprostowanie błędnych informacji i wyciągnięcie rąk z pierścieni, z obręczy, które duszą mnie coraz bardziej.

Od jak dawna prosisz o deszcz, od jak dawna prosisz o ponowne istnienie, o przemieszanie ognia z wodą, o dobre godziny zamiast złych i puste mieszkanie, w którym moglibyśmy na nowo zamieszkać. Ryzykujesz wiele, że odrodzisz się pod postacią strzykwy albo bakterii Eboli. To jest taka gra o nieśmiertelność, tabliczki wiszą jeszcze, napisy się jednak już zatarły, jak na starych nagrobkach. Od jak dawna nosisz garb na plecach, tę narośl przyklejoną na stałe. Na szczęście nikt jej nie zauważa, nie widzi tego wzgórzka zbitych włosów i chorej tkanki, w której mieszka siedem grzechów głównych i kilka pomniejszych równie grzesznych przewinień. Po co ci te papierowe pierśi, które nigdy nie dadzą mleka. Starasz się wyglądać ponętnie i młodo, ale nawet mgły nie potrafisz już wskrzesić, a co dopiero człowieka. Od jak dawna piszesz, od początku, od końca, od nas, od was, od siebie, ode mnie, od jutra, od wczoraj, i tak, w nieskończoność.

Jak zwykle polegam na rzucie monetą, na dobrych uczynkach i wierze w człowieka. Wierzę w baśń o cudownym poczęciu i tego typu optymistyczne historie, ponieważ kwitną bzy i życie wtedy staje się łatwiejsze. Pada deszcz nowych pragnień, mokniemy pod rynnami jak w deszczowej piosenke. Listy nie przychodzą. Nie kupiliśmy znaczków, ale kto to teraz kupuje jakieś znaczki, jeżeli nadchodzi dzień niepewności. Słyszę to zdanie w uchu wewnętrznym: nadchodzi dzień niepewności... i tutaj wypowiedź się urywa. Niepewności czego, niepewności wobec czego, niepewności od czego albo od kogo. Polegam jak zwykle na pustce, na punktach zapalnych, na pochodniach, które płoną w moich oczach. Ktoś przyniósł całe naręcza kwiatów, porzucamy je w zapach, perły i dreszcze. Odrywamy kolejne płatki, kocha, lubi, szanuje, jak zwykle polegam na skrzydlatych słowach, które ulatują ku górze i lecą na zielone łąki jak dusza nieśmiertelna, nasz byt od dzisiaj podniebny.

Pytasz mnie, jak jest naprawdę, poza krainą ułudy. Nie zadaje się takich pytań o tej porze, w ogóle nie zadaje się takich pytań, proszę, potraktuj mnie niezbyt serio, być może wtedy ci odpowiem, bez przeciągania struny i zbędnych ozdobników. Nie usprawiedliwiam ciemnej strony księżyca, ale jednak mogłoby być tam nieco jaśniej, ktoś powinien podjąć próbę oświecenia tego, co jest zbyt ciemne, tym bardziej że oddalamy się od siebie jak dwie planety i potrzebne będzie ogniwo spajające, płachta zarzucona na dawniej było inaczej, albo na puste siedzenia w prowincjonalnej poczekalni, gdzie czekamy na nie wiadomo co i gdzie pasażerowie jedzą suchy chleb i popijają wodą z kranu, żeby było taniej i gdzie oczekujemy na kolejny dzień bez podnoszenia z miejsc i bez uważnego przyglądania się liściom czasu, które więdną jak piękne metafory i trudno jest więcej wydobyć z tego tekstu, ponieważ z naszych twarzy nic nie wynika i nie będzie dalszego ciągu tej historii ledwie zarysowanej jak zwykle i proszę zastąp mnie w tym miejscu, gdyż chciałbym zniknąć na chwilę, a miejsce nie może być całkiem puste i wystarczy napęlić powietrze jak balon swoją osobą, zdjąć z ramion ciężar życia i postarać się związać koniec z końcem, aż się dopełni, my się dopełnimy jak dwie strony medalu albo monety z poprzednich fragmentów, albo nie pytaj mnie o nic, przecież ktoś musi odejść, aby ktoś inny mógł się pojawić w ramach kosmicznej równowagi.

Na owocach granatu promienie światła, początek wielkiego sezonu, korzystnych zmian, inauguracja szczęścia. Uczymy się otwierania owoców, rozbijania skorupy rzeczy, nasze dzieci są coraz większe i szczęśliwie nie wymagają już tylu starań, muszą sobie radzić jak małe pingwiny, które samodzielnie przepływają oceany. Na horyzoncie kilka szczytów niezbyt wysokich, idealnych w naszym wieku, nasze jaskinie też nie sięgają zbyt głęboko, stajemy się coraz bardziej płytcy, pogodzeni z losem, dawne walki zostały zapomniane, ponieważ niepamięcią też można sterować w dowolnym kierunku. Lubimy postęp i obrazy ukazujące wniebowstąpienie. Idea postępu pomaga zrozumieć, dlaczego stoimy w miejscu, dlaczego rozpoznajemy tylko niektóre kolory i dlaczego skala naszych uczuć zbliża się do zera. Musimy to zmienić, powrócić do doznań pierwotnych, eksploracji wielu kobiet, zabijania jaskiniowych niedźwiedzi, ociekania krwią, skór rozłożonych na progu. Będziemy wtedy oczyszczeni z wszelkich grzechów, ponieważ natura jest bezgrzeszna i czysta jak wewnętrzna strona noża, jak nasze stado zabijane codziennie bez litości.

W oknie stoją modelki modelowane w plastiku. Nowa moda, bardziej trwała i na zawsze. Gestykulujemy dzięki niej wyraziście i lirycznie zarazem, o ile oczywiście gesty mogą być liryczne i poetyckie zarazem. Firanki rozwijają się na wietrze, kwiaty w doniczkach nasycone wodą parują rozkosznie jak króliki w rui. Język prowadzi nas za rękę, pozwala przetrwać kolejną godzinę pisania. Chciałbym zabrać do domu jedną z figur, nasycić się jej doskonałością, zobaczyć jak to jest w trakcie doskonałej miłości. Kto jest górą, kto niżej, kto z jednej strony, kto z drugiej. Opadają zasłony, Wenus rozwiązuje swój pas okuty metalem. Nie można zastąpić ciała jednym gestem, ciało jest bardziej trwałe i ma swoje pełne brudu wymagania. My mamy swoje pełne brudu wymagania. Żółty deszcz pada nieustannie, boski markiz wchodzi bez ostrzeżenia. *Anus mundi* śpiewa cienkim głosem, przebiera się w damskie fatałaszki, kocha z kwiatami, zanim opadną ich płatki.

Muszę połączyć kilka tekstów, inaczej zaczną się powtarzać, a sztuka nie znosi powtórzeń. Muszę być współczesny i otwarty na nowe propozycje, wybrać to, co jest w nich najlepsze, ale co jest w nich najlepsze, czy zastanawiałeś się nad tym, co jest w nich najlepsze? Być może jakieś porównanie albo niezwykle trafna uwaga na temat życia. One na pewno ci pomogą, podobnie jak pewność przebytych dróg, otarte nogi, pożegnania na zawsze i powitanie tych, którzy przyjdą po nas dosłownie i w przenośni. W przenośni się nie chodzi, tam nic się nie dzieje, tam, co najwyżej, można wróżyć z piany przelotu, którą ktoś zrzuci na ziemię jednym sprawnym ruchem.

Jestem coraz większy, rozprzestrzeniam się coraz bardziej, o czym jeszcze nie wszyscy w tym kraju wiedzą. Na mojej łysiejącej głowie kwitną naręcza leśnych fiołków, mój tors podobny strukturą do skał ukradłem największemu na naszej planecie człowiekowi. Z fioletem tak już jest, jedni go uwielbiają, innym przypomina nadmiernie zgromadzenie biskupów. Nie jestem po żadnej stronie sporu, godzę wszystkich siłą ręki lewej i prawej. W takiej kolejności, ponieważ moje poglądy są coraz bliżej biednych i upośledzonych. Ich będzie Królestwo schowane dotąd przed naszym wzrokiem pod siedmioramienną tęczą. Moje dziewięć otworów nabrzmiewa krwią tutejszego ludu. Siła narasta, znudzeni pieśnią klaszczemy mając obrzękłe prawice. Nasze są góry i doliny, nasze i niczyje więcej.

Znowu o śladach, moje obsesje codzienne, nie udaje mi się do końca ich obronić, sprzyśnięcie osłów nadal jest czujne i uważnie się nam przygląda. Śladów nie można pozostawić na pastwę losu, w ogóle nie można ich zostawić samym sobie, bo wtedy zaginą, znikną w tajemniczej krainie nieistnienia. Być może są zbyt płytkie i nie do końca doskonałe. Wystarczy niewielki kaktizm i nie pozostanie po nich żaden trwały odcisk, właściwie nie pozostanie nic. Pamiętam odbicia ludzkich dłoni w jakiejś paleolitycznej jaskini, były pozbawione śladu kciuka i przypominały piąstkę dziecka. Nic ich nie zniszczyło przez tysiące lat, zachowały się na tej samej ścianie, na której ktoś kiedyś je przypadkowo lub nie odbił. Muszę znaleźć taką ścianę, muszę dać sobie odciąć kciuk, wtedy na pewno przetrwają tylko lekko zatarte, jak oczy brudnymi rękami, jak łyzy przybite do żrenic. Musimy im pomóc, nikt inny nie stanie w ich obronie, ponieważ jesteśmy z tarczą i na tarczy jednocześnie.

Już niedługo zamykamy, sklepy cynamonowe, sklepy z majerankiem i rezedą. Szyldy zostały już zdjęte z najbardziej dojrzałych owoców, szumią brzozy, dobre piekła otwierają swoje bramy. Kochamy wewnętrzne rymy, nasz rytm powszedni dodaje nam skrzydeł. Badasz oświetlenie kluczy, pierwszy rząd ulic, szklaną kulę, w której nasza przyszłość i przeszłość kłębią się pod powłoką spokoju. Poszukujemy nowych wyzwań, analogii i podobieństw w naczyniu z rozsypanymi wewnątrz literami. W naszym sklepie być może ktoś się jeszcze zabłąka, jakiś klient będący miłośnikiem alegorii albo drobny pijaczek o dużym szklanym sercu. Zaplecze i magazyny pomału stają się puste. To dobrze, to świadczy o klasie towarów i o stosunkowo niskich cenach. Tło naszych działań tym razem nie jest takie istotne, żółć albo czerń dominują. Masz rację, najtrudniej jest uchwycić nasz prawdziwy profil, przedrzeć się przez wszystkie zasłony, dotknąć mięsa, które rozłożone na kontuarze może się szybko zepsuć, jak to w świecie materii, jak to nazajutrz po końcu tego świata.

Na ścianach naszych kamienic zatrute studnie i dziwne zwierzęta o dwóch głowach. W środku chorzy ludzie i ci, którzy czekają na lepsze jutro. Opowiadamy sobie opowieści o eliksirze życia, o żywej wodzie, którą ktoś musi nam przynieść, abyśmy mogli żyć wiecznie. Nasze skrzydła nasączymy świętym olejem i będziemy lecieć do utraty tchu ponad ciepłymi morzami do wysp szczęśliwych. Ktoś puka do drzwi, musimy mu otworzyć, ponieważ jest to najprawdopodobniej archanioł Gabriel z pobliskiej poczty z przesyłką poleconą. Najpierw spojrzenie przez łańcuch, ostrożność nakazuje rozwagę podczas kontaktów z obcymi archaniołami. Na szczęście nie jesteśmy w ciąży i możemy z nim spokojnie porozmawiać o tym, że ktoś niedawno powiesił się na naszej klatce, a inni pobili o zasiłek. Archanioł kiwa skrzydłami ze zrozumieniem, lubi tego typu historie, ponieważ pozwalają mu one później zdawać bardziej szczegółowe sprawozdania Najwyższemu. Czas już najwyższy się pożegnać, zatrute studnie do czegoś zobowiązują. Jesteśmy od rana dziwnie spragnieni i głodni, cudza świętość w niczym nam nie pomaga. Świadkowie Jehowy przyjdą później, ale nie wiem, czy po rozmowie z archaniołem warto z nimi rozmawiać.

Widzę bardzo wyraźnie powierzchowność naszych sądów i niepewność odwiecznych przeświadczeń. Musimy odbić się do tej powierzchni, ale nie wiem, jak to zrobić. Radzisz mi szereg lektur, od których boli głowa i cierpną ręce, radzisz, abym unosił się nie nad ale pomiędzy wodami, które z ziemi i z nieba docierają do nas w czasie gwałtownych burz tego roku. Chętnie bym to zrobił, jednak przeszkadzają mi gałęzie akacji, która rozrosła się w naszym ogrodzie ponad miarę i teraz zasłania widok na sąsiednią ulicę. Wiem, że to irracjonalne, lecz przez nią nie mogę nic sensownego zrobić, staję się artystą ograniczonym i płytkim w swoich sądach, a na wycięcie drzewa trzeba mieć zgodę Władzy i Wszystkich Świętych. Przez to drzewo coś się we mnie zatrzymało i coś wyrasta ze środka przypominając wielkie łodzie o długich wiosłach, kolejne pnie płynące z prądem wody, lasy zielone i mokre. Mówisz: taka jestem szczęśliwa, kiedy we mnie wchodzisz, spełnia się przewijanie w głęb i wiem, że wtedy inne opuszczone kobiety też kochają się bezwiednie same ze sobą pod jakimś rajskim drzewem, przebijając granice cierpienia i twardą powierzchnię kolejnego lustra.

I znów kwitną jabłonie, ulegamy temu co jest i temu co nie istnieje, temu co bywa najpełniejszym wyrazem wieku. Najczęściej jest to jedna z rąk i połowa ust przedzielonych wyraźną linią i nie wiemy jak długo jeszcze będziemy na tyle silni, żeby wytrzymać napór sił płynących z zewnątrz od strony Wschodu i Zachodu, nie wiemy. Nie wiemy też, kim jesteśmy i dlaczego nie rodzą się połowiczne jabłka ani słodkie robaki o smaku karmelu i miodu. Rodzą się potwory, najczęściej przez szczelinę w ziemi albo przez rozdartą korę jałowca. Później rany znikają, wszystko się zasklepia, również skaleczone przez ogrodnika jabłonie zaczynają wydawać dobre owoce. Jedynie twoja rana cielesna jest nieśmiertelna, błogosławiona, łaski pełna.

Uniesienia, tak uniesienia, jako nieodrodny syn swojego ojca unoszę się spokojnie nad naszym prześcieradłem zmienionym wczoraj na czyste, przypominającym koronkową chusteczkę znaną podczas koronkowej nocy. Drogi okrężne ułatwiają kołowanie wokół naszego centrum, bramy bronią nas przed ostatecznym opuszczeniem. Nasz styl wysoki zamyka w złotej klatce, gdzie jest pięknie i chłodno, a złote kraty umożliwiają bezkarne przyglądanie się sobie w zwielokrotnionych odbiciach. Trwa cisza, dzielimy się chlebem i solą, wypuszczamy strzały pod wiatr, my łucznicy czasów pierwszych. Strzały potrafią rozpalić morze i ugasić wulkany. Moje daremne uniesienia, mój syndrom snu przerwane w połowie, jak się podzielić słowem, jak się podzielić.

Zawsze mam ogromne trudności z zakończeniem, ono nie chce przyjść a ja wiem i tak, że jak nadejdzie, to nie spełni niczyich oczekiwań. Powracają stare motywy, milczenie, pustka, pustynia, jasna panienska, te rzeczy, a ja siedzę w starej palmiarni, którą wymyśliłem właśnie na poczekaniu i sieję zielony pachnący groszek pod omszałymi drzewami, których nazw nie znam i których pewnie nigdy nie poznam. Jest cielesnie i dobrze, odrywam od twojej sukni kolejne guziki, papugi latają nam nad głowami, robi się lżej na sercu i ciepło między nogami. W taką pogodę musi się wszystko udać, wypędzimy szatana i złe duchy, a dobre pozostaną z nami na zawsze, zapętlimy rozstajne drogi w gorący węzeł, zużyjemy wszystkie mury i ściany na podkład dla naszej nowej planety. W zachwyceniu położymy ją pod sobą, nasz oddech pomoże jej zaokrąglić się i zyskać niezwykły blask supernowej. Odpędzimy od siebie przyziemne myśli, nasz nieboskłon ukłoni się gwiazdom i zakwitnie ponownie. Zielony groszek pęknie nam w dłoniach, ma słodki smak i gorzką łupinę, potrafi się wspinać najwyżej ze wszystkich, jest jak my, nieśmiertelny i gotowy na wszystko.

wymiary: 20×15 cm
oprac. kk